Rok IX. Warszawa, Marzec 1934. № 3.

RUCH LITERACKI

ZAŁOŻONY PRZEZ BRONISŁAWA GUBRYNOWICZA

WYCHODZI CO MIESIĄC, Z WYJĄTKIEM LIPCA I SIERPNIA
DZIESIĘĆ ZESZYTÓW TWORZY TOM

NA MANOWCACH »DROGI DO ROSJI«

FIŁOSOFOW VERSUS KLEINER

„Stosunki polsko - rosyjskie miały przeważnie charakter polityczny i z tego stanowiska właśnie badali je uczeni polscy i rosyjscy. By rzec prawdę, większość tych badań podejmowano ze strony rosyjskiej celem usprawiedliwienia rozbiorów, ze strony zaś polskiej celem uzasadnienia prawa ujarzmionego narodu do walki o niepodległość; dzięki temu studja te w istocie swej miały mało wspólnego z objektywizmem historycznym, ulegały natomiast zabarwieniu przez pochodzące zzewnątrz poglądy i przesądy polityczne.

W ten sposób studja te, zgodnie z istotnem znaczeniem roztrząsanych w nich zagadnień, odznaczały się uprzedzeniami i jednostronnością. Pozostawiały one odłogiem bogatą dziedzinę stosunków, niemniej bodajże interesujących, a dotyczących literatury i kultury, chociaż właśnie te problemy niejednokrotnie przyczynićby się mogły do zrozumienia mentalności obydwu narodów. Brak zainteresowań w zakresie wzajemnego oddziaływania na siebie dwu kultur wydał w rezultacie zdumiewającą ignorancję po obydwu stronach; literatura rosyjska i jej podstawa, mentalność rosyjska, stały się czemś całkowicie nieznanem w Polsce, podobnie jak literatura polska i jej ideały były czemś zupełnie obcem w Rosji".

W taki sposób scharakteryzowałem przed sześciu laty stosunki polsko-rosyjskie, które wytworzyły się w ciągu stulecia XIX, a charakterystykę tę pozwalam sobie dzisiaj przytoczyć w całości, od chwili bowiem jej skreślenia niewiele się tutaj zmieniło [1]. Spadku, odziedziczonego po układzie stosunków, któremu koniec położyła dopiero wojna europejska, niepodobna „zlikwidować" doraźnie, jakkolwiek pracę nad usunięciem go i zastąpieniem przez inny system poglądów, bardziej odpowiadających wymaganiom prawdy, rozpocząć powinny jaknajrychlej zarówno nauka polska, jak nauka rosyjska.

W. Lednicki, jeden z bardzo nielicznych naszych uczonych, pracujących nad obaleniem owego chińskiego muru, polsko-rosyjskiej ignorancji w zakresie wzajemnych stosunków kulturalno - literackich, w zajmującym szkicu o mickiewiczowskiej „Drodze do Rosji" wskazał, że właśnie ten

[1] Por. szkic „Mickiewicz and Pushkin", w Slavonic Review, 1928, VI, 18.

poemat wytyczył szlaki, wedle których myśl polska orjentowała się, ilekroć wypadło jej kierować się ku zagadnieniom rosyjskim. Jak dalece spostrzeżenie to jest trafne, przekonywa o tem choćby charakterystyka poglądów Conrada na Rosję, nakreślona przeze mnie na tem miejscu przed rokiem zgórą. Że zaś orjentacja ta nie przestała być aktualną w Polsce po dzień dosłownie dzisiejszy, mogłem przekonać się na własnej skórze. Spotkało mię sporo, przewidywanych zresztą, przykrości, gdy napisałem artykuł o Sienkiewiczu i walterskotystach rosyjskich. Stwierdzenie, że autor „Trylogji" znał najrozmaitsze, przeważnie zresztą liche romanse rosyjskie i że niejeden pomysł im zawdzięczał, poczytano za rodzaj zamachu na „świętości" narodowe.

A po stronie rosyjskiej, jak to będę miał sposobność zaznaczyć w końcu obecnych rozważań, nie jest bynajmniej lepiej. Najgorzej zaś na tem wychodzi objektywna prawda, spowita w powłokę niechęci i niewiedzy, a czekająca cierpliwych, sumiennych i bezstronnych pracowników, którzyby ją spod pokładu przez stulecia całe gromadzących się uprzedzeń najaw wydobyli. Dotarcie zaś do tej prawdy jest nie postulatem teoretycznym, akademickim, lecz zagadnieniem czysto praktycznem. Na punktach stykania się i krzyżowania dwu kultur, polskiej i rosyjskiej, powstało wiele zjawisk pierwszorzędnej wagi jużto dla nas, jużto dla Rosjan, zrozumienie zaś tych zjawisk bez znajomości stosunków, które je wydały, jest niemożliwe, zrozumienie zaś oparte na czynnikach jednych tylko, polskich dla Polaków, rosyjskich dla Rosjan, jest w najlepszym razie fragmentaryczne, dalekie od ścisłości. Że nie jest to bynajmniej frazes, wystarczy wskazać, że do zjawisk tych należy również twórczość Mickiewicza.

*

Studja nad Mickiewiczem z konieczności poruszają cały szereg problemów z zakresu historji i kultury Rosji pierwszej połowy ubiegłego stulecia. Chodzi tu w pierwszym rzędzie o kilkuletni okres pobytu autora „Wallenroda" w granicach cesarstwa i o przyjacielskie jego stosunki z wybitnymi przedstawicielami poezji rosyjskiej, chodzi dalej o okres jego rzymski, gdy stosunki te podtrzymywał z kolonją miejscową, chodzi wreszcie o stanowisko, zajęte przezeń wobec Rosji zarówno w „Dziadach", jak później w prelekcjach paryskich. Nauka polska w szkicach Spasowicza, Tretiaka, Lednickiego, Blütha i innych, interesowała się głównie sprawą „przyjaciół-Moskali", obracała się przeważnie w orbicie zagadnienia Mickiewicz i Puszkin, sprawy natomiast inne, wcześniejsze i późniejsze, przedstawiają dotychczas splot zagadek i niejasności, z których wagi niezawsze badacze polscy zdać sobie umieją sprawę. By daleko nie szukać, wskażę na przykład najświeższy a bardzo typowy. Jak dawno już wiadomo, spomiędzy wileńskich przyjaciół poety literaturą rosyjską interesował się żywo Zan; on to z gruntu rosyjskiego pierwszy przeszczepił balladę, on tłumaczył Karamzina i inne nowości; dlatego też, gdy się czyta o ówczesnem zainteresowaniu się inteligencji rosyjskiej spirytyzmem, medjumizmem etc., zainteresowaniu, przybierającem w Petersburgu zwłaszcza formę zbiorowej aberracji (wystarczy wskazać na baronową Krüdener i jej stosunek do cesarza Aleksandra), niepodobna oprzeć się wrażeniu, że zanowska „promienistość" pozostaje w jakimś związku z temi sprawami. Tymczasem najnowsza, bardzo długa książka o latach uniwersyteckich Zana, powtarzając rzeczy oddawna dobrze znane, nad całą tą dziedziną zagadnień przechodzi

tak, jak gdyby jej nie było [1]. Stanowisko autorki jest dla scharakteryzowanych tu stosunków znamienne, wprost typowe, stąd też człowiek, obeznany jako tako z dziejami kultury rosyjskiej owej epoki, biorąc do ręki polską książkę o Mickiewiczu, zgóry może być przygotowany, że natrafi w niej na mnóstwo niejasności, niedomówień, zagadek, które nie powinnyby nastręczać nadmiernych trudności, a jednak stale uchodzą za coś nierozwiązalnego. Dlatego też przy lekturze najnowszej monografji J. Kleinera, doprowadzonej do „Sonetów krymskich", rodzi się niejedno spostrzeżenie i zastrzeżenie, dotyczące sposobu, w jaki autor przedstawił pierwsze kroki Mickiewicza w Rosji. Zgóry wprawdzie przewidzieć można, iż uczony tej miary, co profesor Kleiner, zdawał sobie sprawę z oczekujących go trudności, że więc uczynił wszystko, by się na nie przygotować, jakoż istotnie przypisy książki świadczą o tem wymownie; z tem wszystkiem nie wszędzie udało mu się wyjść obronną ręką, niejedna jego uwaga uderza sformułowaniem, na które trudno się zgodzić; jest bowiem albo niedociągnięte, albo naodwrót przesadzone, wskutek czego wymaga odpowiedniej korektury [2].

Owe niedomagania stały się przedmiotem olbrzymiego artykułu dziennikarskiego p. D. Fiłosofowa, gromiącego w czambuł naukę polską za istotną i rzekomą ignorancję w sprawach literatury rosyjskiej, potępiającego monografistę za niechlujstwo (!) w operowaniu materjałami rosyjskiemi, dającego wskazówki, jak uczony polski powinien pisać monografję o Mickiewiczu [3]. Ponieważ artykuł narobił sporo hałasu, ponieważ przedrukowano go w przekładach i streszczeniach dalekich od sumienności, warto spojrzeć na wywody publicysty rosyjskiego i zastanowić się, co nowego przyniósł on w zakresie wiedzy o Mickiewiczu i specjalnie w dziedzinie stosunku poety do Rosji.

*

Wywody swe p. Fiłosofow rozpoczyna od zarzutu pod adresem nauki polskiej, że grzeszy ignorancją i nie uwzględnia najnowszych zdobyczy rosyjskiej historjografji literackiej. Zarzut to nie nowy, jak dowodzi przytoczony przeze mnie na wstępie urywek mego własnego szkicu, i niepodobna mu odmówić słuszności. Chodzi tylko o jego sformułowanie i uzasadnienie. Gdy ja kierowałem go równocześnie przeciw nauce polskiej i rosyjskiej, p. Fiłosofow grzech ignorancji przypisuje jedynie pierwszej. Na dowód zaś przytacza, że dwaj monografiści Mickiewicza informowali się

---

[1] M. Dunajówna: Tomasz Zan, Wilno 1933.

[2] Autor w dwu wypadkach przesadził, przeprowadzając zestawienie zjawisk literackich polskich i rosyjskich, nie mających z sobą nic wspólnego. O pierwszym, dotyczącym Radiszczewa, wypadnie mi powiedzieć niżej, tutaj wskażę drugi. Charakteryzując „Popas w Upicie" prof. Kleiner analizuje gawędę, powiadając: „Gawęda, mająca ten sam charakter, co rosyjskie skazki, polega na umiejętności przeniesienia się w psychikę opowiadacza o znacznie niższej kulturze i przemawiania jego stylem" (436). Ponieważ rosyjska skazka jest dokładnie tem samem, co bajka polska, trudno zrozumieć, jaki cel ma zestawienie naszej gawędy ze skazką a nie bajką. Autor uległ tu prawdopodobnie suggestji studjum Winogradowa o Gogolu, gdzie zestawienie nowel Gogola z bajką ruską, a więc skazką, jest zupełnie na miejscu. Inna rzecz, że poprzednikiem Gogola na polu gawędy był Puszkin (w „Powieściach Biełkina"), tylko że powiastek Puszkina z bajek wywodzić niepodobna, nie mówiąc już o tem, że gawęda Mickiewicza jest o parę lat wcześniejsza od wystąpienia obydwu pisarzy rosyjskich. Wskutek tego właśnie całe to zestawienie jest bezcelowe.

[3] W dzienniku „Mołwa" 11—13 i 17—20.

o literaturze rosyjskiej w źródłach mocno przestarzałych, że Kallenbach w książce o Mickiewiczu powoływał się na dzieło Pypina z r. 1890, Kleiner zaś na „Historję literatury rosyjskiej", wydaną tuż przed wojną pod redakcją Owsianiko-Kulikowskiego. Nie mam zamiaru kruszyć kopij w obronie „Mickiewicza" Kallenbacha, muszę jednak zwrócić uwagę, że powstało ono nie w r. 1926, jak bodajże sądzi p. Fiłosofow, lecz w r. 1897, a więc w siedem lat po książce Pypina, co jedno już wskazuje, iż ówczesny profesor literatur słowiańskich we Fryburgu orjentował się chyba w stanie nauki rosyjskiej. Z Kallenbachem jednak polemista rozprawia się przygodnie, ostrze swych zarzutów kierując w profesora Kleinera. Obwinia go mianowicie, że o literaturze rosyjskiej epoki romantycznej informował się we wspomnianem dziele, redagowanem przez Kulikowskiego, i źle trafił, bo dzieło to nie miało celów naukowych lecz raczej popularyzacyjne, a wyszło pod redakcją człowieka, którego „autorytet naukowy był grubo niższy od autorytetu tak sumiennego i pełnego wiedzy pracownika, jak Pypin". De gustibus non est disputandum, książki Kulikowskiego można nie lubić, a można ją lubić lub cenić. Pretensyj o to do p. Fiłosofowa żywićby nie można, gdyby nie jedno drobne przeoczenie. Oto zapomniał on dodać, że bogatszego w szczegóły, bardziej objektywnego i zasługującego na uznanie obrazu literatury rosyjskiej niema, że więc uczony obcy, który z natury rzeczy nie może przeprowadzać samodzielnych studjów nad dziedziną, z którą tylko przygodnie się styka, z konieczności skazany jest na czerpanie z inkryminowanej księgi. A że czerpać z niej może z całym spokojem, bez względu na taki czy inny autorytet naukowy jej redaktora, to nie ulega wątpliwości, poprostu dlatego, że jest ona dziełem zbiorowem, obejmującem wprawdzie sporo pozycyj nienajświetniejszych, ale równocześnie szereg prac pióra najświetniejszych uczonych przedwojennej Rosji. W ten sposób zarzut wstępny, wypełniający cały ogromny wstęp artykułu p. Fiłosofa, obliczony jest chyba na czytelnika, który autorowi potrafi uwierzyć na słowo i nie pofatyguje się, by przynajmniej przejrzeć dzieło Owsianiko-Kulikowskiego.

Przy tej okazji p. Fiłosofow wytacza drugie działo, by wyrzucić zeń pocisk, który temu samemu czytelnikowi, nieorjentującemu się w literaturze rosyjskiej, wydawać się może bardzo dotkliwym. Monografista polski mianowicie, mówiąc o „Sonetach krymskich", wspomina najniepotrzebniej modę na opisy podróży w epoce romantyzmu i jako jej ilustrację przytacza zapomnianą dzisiaj książkę Jakowlewa, dodając, że „do tego typu należało jedno z najpopularniejszych dzieł rosyjskich w pierwszej ćwierci w. XIX, Radiszczewa „Podróż z Petersburga do Moskwy" będąca też satyrą polityczną" (480). Wzmiankę tę p. Fiłosofow zaopatruje w taki oto bombastyczny komentarz: „Jako tako wykształconemu czytelnikowi rosyjskiemu od takiej uwagi muszą włosy stanąć na głowie", książka bowiem Radiszczewa wyszła w r. 1790 i z miejsca uległa zniszczeniu, autor jej zaś, za swe jakobińskie poglądy na obsolutyzm, został zesłany na Syberję. Nie znaczy to jednak, by uwaga o jej popularności w czasach Aleksandra I była nieprawdziwa, książkę prawdopodobnie czytywano w odpisach, a imię jej autora było „niewątpliwie pewnego rodzaju świętością" w kołach rosyjskich, w których obracał się Mickiewicz. Ale też właśnie dlatego Kleiner popełnił grzech świętokradztwa, wymieniając satyrę Radiszczewa w jednym ustępie z rzeczą lichą i zapomnianą. Wybaczając tedy umieszczenie jej w nieod-

powiednim okresie, p. Fiłosofow konkluduje: „W ten sposób, jeśli nawet przypuścić, że profesor Kleiner wskutek niechlujstwa (dosłownie: ponierjaszliwosti!) poprostu źle się wyraził, mimo to jego wyrażenie jest fatalne. Świadczy ono o tem, że lwowski profesor nie przejął się myślami, uczuciami, dążnościami tego środowiska rosyjskiego, które wydało dekabrystów, t. j. „przyjaciół-Moskali" Mickiewicza. Nie wyczuł on smaku i zapachu epoki, nie zżył się z tem środowiskiem i krainą, w których Mickiewicz spędził sześć lat".

Czytelnik, którego natura obdarzyła uwłosieniem mniej skłonnem do tak gwałtownego reagowania na afekty, musi przyjąć emfatyczne okrzyki p. Fiłosofowa nieco krytycznie. Wszak monografja traktuje o Mickiewiczu, wszak pobyt poety w Rosji jest tylko epizodem w jego tułaczem życiu, czyż tedy od autora książki o Mickiewiczu można wymagać, by wyczuwał smak i zapach środowiska dekabrystów? Ale przypuśćmy nawet, że postulat to słuszny, czy jednak na jego podstawie można kuć zarzut tego rodzaju, jak sformułowany przez p. Fiłosofowa? By uzasadnić jego treść (o formie nie mówię!), trzebaby mieć coś więcej, aniżeli domysł, że dekabryści z uwielbieniem myśleli o Radiszczewie. Wszak poglądy na tę swoistą wielkość, tak pompatycznie wspomnianą przez p. Fiłosofowa, nawet dzisiaj wyglądają dość rozmaicie. By nie być posądzonym o gołosłowność, przytaczam parę uwag oceny „Podróży" ze znakomitej — na mój gust — „Historji literatury rosyjskiej" ks. D. Swiatopołk-Mirskiego, nawróconego na bolszewizm emigranta, książki przeznaczonej dla Europy i wymownie broniącej istotnych i rzekomych wartości kultury rosyjskiej. „Radykalna inteligencja — czytamy tam [1] — poczęła go (Radiszczewa) uważać za swego pierwszego rzecznika i pierwszego męczennika. Szczerość jego książki kwestjonowali zarówno jego wcześni obrońcy jak jego późniejsi oskarżyciele. Bardzo być może, że napisał on ją jedynie pod wpływem ambicji literackiej i że nie jest ona niczem innem, jak teoretycznem ćwiczeniem na temat podsunięty i spopularyzowany przez Raynala. Mniejsza zresztą oto, książka — poza swem znaczeniem politycznem — nie posiada żadnej wartości literackiej". Tak oto wygląda arcydzieło, spostponowane ponoś przez uczonego polskiego a upoważniające jego krytyka do robienia mu zarzutów, ordynarnych w formie, zredagowanych zaś w ten sposób, iż nieobeznany z istotą sprawy czytelnik odnosi wrażenie, że chodzi tu naprawdę o uchybienie wymaganiom nauki [2].

Uchybienie takie polemista zresztą istotnie znalazł. Autor monografji mianowicie nazwał wybitnym literatem i dekabrystą Murawjewa-Apostoła, którego „Podróż po Taurydzie" znał i cytował Mickiewicz. Murawjew ów był nie dekabrystą lecz ojcem dekabrystów, którzy literaturą się nie zajmowali. Dekabrystą nie był też inny jeszcze Murawjew, który pochodził

---

[1] Prince D. S. Mirsky, A History of Russian Literature, New-York, Knopf, 1927, 77.

[2] Już po wysłaniu obecnego artykułu doszedł mię lutowy zeszyt „Przeglądu Współczesnego" z polskim przekładem artykułu p. Fiłosofowa, „przerobionym i poprawionym". W wersji polskiej zniknęły ordynarne koncepty autorskie, które w poważnym miesięczniku polskim byłyby nie do pomyślenia. Zastanawia tylko jedno — autor w przypisie oświadcza, że jedynie tekst polski „uważać należy za autentyczny, t. j. za niego jedynie (!) mogę ponosić całkowitą odpowiedzialność" (str. 266). Pytanie więc — kto ponosi odpowiedzialność za nieautentyczny najwidoczniej tekst rosyjski? Czyżby należało oczekiwać, że p. Fiłosofow wytoczy proces redakcji „Mołwy" za zniekształcenie swego salonowego stylu?

z innej rodziny, a pisał również o „Taurydzie". Ponieważ Kleiner, potęgując zamieszanie, wspomniał przy tej sposobności Puszkina, dało to asumpt p. Fiłosofowi do rozdzierania szat i do bardzo długiego wywodu na temat, co Puszkin wiedział i sądził o brance chańskiej, Potockiej, którą zrobił bohaterką poematu o „Fontannie w Bachczysaraju", podobnie jak Mickiewicz w jednym z sonetów.

A do szerokiego rozwodzenia się de omni re scibili p. Fiłosofow ma niepohamowaną skłonność, dzięki czemu artykuł jego rozrósł się do rozmiarów dziwnie nieproporcjonalnych w porównaniu z rezultatami, do których dochodzi. Szeroko tedy a bez potrzeby opowiada o Szczęsnowej Potockiej i synu jej z pierwszego małżeństwa, generale - szpiegu, Janie Witt, o Karolinie Sobańskiej i bracie jej, Henryku Rzewuskim, o „Pamiątkach Soplicy" i Gertrudzie Komorowskiej, etc. etc. Wiadomość o tych osobach czerpie zazwyczaj ze wstępów do wydań Bibljoteki Narodowej, o generale zaś Witt z „Łukasińskiego" profesora Askenazego. Z długich tych i dziwnie nieporządnych roztrząsań wynikają dwa wnioski, zupełnie zresztą słuszne. Pierwszy z nich dotyczy towarzystwa, w którem Mickiewicz odbył wycieczkę po Krymie i któremu później dedykował „Sonety krymskie". Gdy Kleiner na temat tej dedykacji snuje bardzo skomplikowane a mało przekonywające domysły, iż poeta usiłował w ten sposób zamaskować osobę bohaterki sonetów erotycznych, pani Sobańskiej, p. Fiłosofow wysuwa inny pogląd, równie hipotetyczny ale prosty i wskutek tego prawdopodobniejszy, że poecie chodziło o względność cenzury, poinformowanej zapewne, że autor w dedykacji myślał o wysokim dygnitarzu policyjnym. Równie słuszne wydaje mi się ujęcie sprawy samej wycieczki, jako epizodu niefrasobliwego bytowania poety w Odesie. P. Fiłosofow, jako cudzoziemiec, wolny jest od tego nieprzyjemnego patosu bronzowniczego, który tradycyjnie pojawia się w książkach o Mickiewiczu, spogląda więc na życie odeskie poety tak jak wygląda ono w świetle faktów. Nawiasem dodam, że — jeśli mię pamięć nie myli, — takie spojrzenie na wywczasy odeskokrymskie Mickiewicza nie jest absolutną nowością, że spotkałem się z niem w studjum St. Windakiewicza, zagrzebanem w rocznikach „Przeglądu Polskiego" a niewznowionem bodajże wskutek śmiałości ujęcia zagadnienia. Reagując jednakże na metody bronzownicze, p. Fiłosofow wpada w drugą skrajność, wywołującą w czytelniku uczucie niesmaku. Stanowisko jego zbyt mocno przypomina głośnych „obliczitelej", znanych w dziejach literatury rosyjskiej. Dopatruje się on mianowicie swoistej wymowy i swoistej symboliki w fakcie, że Mickiewicz, autor komentarza do „Sofijówki", poematu o siedzibie targowiczan, w kilka lat później miał znaleźć się w kompanji targowiczańskich potomków, Witta i obojga Rzewuskich. Przejęcie się odkryciem tak osobliwej „symboliki" tłumaczy owe długie wywody o Zofji Potockiej i jej synu, oraz o Rzewuskim, pisarzu i człowieku „nawskroś przejętym duchem Targowicy". Co jednak to wszystko ma wspólnego z Mickiewiczem? Otóż — bynajmniej wykluczone nie jest, że istotnie sprawa ta ma znaczenie dla późniejszej biografji poety, znaczenie, o którem zresztą p. Fiłosofowowi ani się śniło; bardzo być może, że kontakt z ludźmi, „usynowionymi" przez Rosję, przyczynił się do ukształtowania pewnych stron stosunku Mickiewicza do zagadnień rosyjskich, sprawy te jednak czekają wciąż jeszcze na zbadanie. Wnioski natomiast, które p. Fiłosofow przy tej okazji wyciąga, są nieistotne, a w każdym razie conajmniej naiwne.

Z jednej tedy strony przypuszcza on, że Witt, któremu polecono nadzór nad Mickiewiczem, specjalnie dlatego wybrał się z młodym poetą na Krym, by mu się bliżej przyjrzeć. Trudno przypuścić, by nauczyciel kowieński mógł wydawać się szefowi wywiadu politycznego aż tak wielką „szyszką", by Witt miał się sam nim specjalnie zajmować. Raczej chodziło tu — jak przypuszcza profesor Asknenazy[1] — o inspekcję rejonu, w którym oczekiwano przyjazdu cesarza. Równie pozbawiony podstaw jest wniosek drugi, o znaczeniu Witta w biografji Mickiewicza, znaczeniu — jak twierdzi p. Fiłosofow — bez porównania większem od „przelotnego stosunku" z piękną panią Sobańską. Bardzo prawdopodobne oczywiście wydaje się przypuszczenie prof. Askenazego, że przychylne raporty Witta o Mickiewiczu odniosły skutek w chwili, gdy poeta zabiegał o zezwolenie na wyjazd zagranicę; dzięki temu w biografji Mickiewicza Wittowi należy się istotnie wzmianka, choć biografja jego matki nie jest tu nieodzowna! Gdyby natomiast nie „przelotny stosunek" z urodziwą panią z Ukrainy, nie mielibyśmy sonetów erotycznych, które znowuż w monografji o Mickiewiczu stanowią pozycję nieco zapewne ważniejszą, aniżeli znajomość raportów policyjnych, które ułatwiły wyjazd poety z krainy carów.

*

Sumując rezultaty, do których p. Fiłosofow doszedł, znajdujemy, że wytknął on w książce prof. Kleinera jeden błąd, świadczący, że monografista nie orjentuje się w świecie podrzędnych pisarzy rosyjskich, do których obaj Murawjewowie należą, oraz że postawił jedną hipotezę, prostszą i prawdopodobniejszą od hipotezy Kleinera. Oto wszystko. Jak na artykuł, który w postaci książkowej stałby się sporą broszurą, zdobycze to niezbyt bogate. Inaczej snać ocenia je sam autor, skoro w zakończeniu z pogromcy rzekomych „byków" uczonego lwowskiego przechodzi do roli mentora, tłumaczącego, jak należy pisać o Mickiewiczu. Zapomniawszy widocznie, że początkowo zamierzał zająć się tylko lukami w obrazie pobytu Mickiewicza w Rosji, p. Fiłosofow gromi profesora Kleinera za „narzucanie" Mickiewicza czytelnikowi, za „zagmatwane roztrząsanie estetyczne typu profesorskiego", wyrokując, że pracę należy zacząć od poszukiwań dokumentarnych, od ustalenia faktów biograficznych. Tego rodzaju poza znowuż wywiera trochę dziwne wrażenie, gdy się zważy, że naukę swą p. Fiłosofow wygłasza ni mniej ni więcej tylko Kleinerowi, autorowi monografji o Słowackim no i o Mickiewiczu, w której autor wprowadził naprawdę dużo, nieraz aż za dużo nowych materjałów biograficznych. Jest piękne przysłowie łacińskie „ne sutor supra crepidam", przysłowie, którego staropolski odpowiednik brzmi „dość kozie ogona po rzyć". Kto jak kto, ale łowca „byków" powinien odczuć aktualność staropolszczyzny w tym wypadku!

*

Raz jeszcze okazuje się, że na „drodze do Rosji" czyhają najrozmaitsze niebezpieczeństwa, których uniknąć niełatwo! Jednem z nich jest nadmierna pewność siebie, i ona to — między innemi — spowodowała, że

[1] Wiadomości Literackie, 1934, № 6.

p. Fiłosofow w artykule swym zabrnął na manowce, nie wiodące do celu. Przyczyną tej pewności siebie jest, jak z artykułu wnosić wolno, duża ufność do nauki rosyjskiej, zwłaszcza do puszkinologji, i stąd płynące żądanie przesadnej znajomości rzeczy rosyjskich u uczonego polskiego, widoczne w postulacie wżywania się w sprawy tak stosunkowo specjalne, jak atmosfera dekabrystów. Taki stosunek do nauki rosyjskiej wywołuje pewną krótkowzroczność w ocenie jej zdobyczy, tam zwłaszcza, gdzie nieodzowna jest zasada wzajemności, gdzie uczony rosyjski bez znajomości odpowiednich zjawisk na terenie literatury polskiej jest równie bezradny, jak jego kolega polski, nieobeznany ze zjawiskami rosyjskiemi. Że tak jest istotnie, wskażę na dwu, trzech przykładach z zakresu epoki romantycznej właśnie, i to nawet z obrębu puszkinologji. Profesor Lednicki w kapitalnych swych pracach nad genjalnym poetą rosyjskim wszechstronnie oświetlił jego stosunek do Mickiewicza, a więc zagadnienie bardzo istotne dla zrozumienia genezy „Jeźdźca miedzianego". Mimo to nie wydaje mi się, by puszkinolog polski postawił „kropkę nad i" w tej właśnie dziedzinie. Puszkin, jak wiadomo, stworzył koncepcję Petersburga, miasta-upiora, koncepcję, która przez całe stulecie miała przewijać się przez karty literatury rosyjskiej, przez dzieła Dostojewskiego, Miereżkowskiego, Biełyj'a i wielu innych. Rzeczą niezwykłą jest, że koncepcja ta zrodziła się w wyobraźni poety tak „apollińskiego", jak autor „Oniegina". Czy genezę jej tłumaczy tylko stosunek poety do uwielbianego a równocześnie nienawistnego „grodu Piotrowego?" Sądzę, że nie, że najprawdopodobniej poeta rosyjski bezwiednie uległ tu sugestji swego polskiego przyjaciela, tworząc koncepcję, której niesamowitość tak głęboko uchwycił cytowany poprzednio Mirski w swem doskonałem studjum o Puszkinie. Jeśli uszło to uwagi uczonego, tak dobrze obeznanego z literaturą polską jak Lednicki, cóż dopiero mówić o puszkinistach rosyjskich! A oto inny wypadek, daleko jaskrawszy. W pośmiertnej puściźnie Puszkina jest urywek p. t. „Alfons", opowieść o jeźdźcu, któremu gospodarz odradza drogę koło szubienicy, z której ponoś odrywają się wisielcy. Pochodzenie tego fragmentu jest, o ile mi wiadomo, niewyjaśnione, przynajmniej żadnych danych w tej sprawie nie zawiera tak staranne wydanie Wiengierowa[1]. Wyjaśnienia szukać należy w literaturze polskiej, w romansie J. Potockiego „Rękopis znaleziony w Saragossie", drukowanym niegdyś w oryginale francuskim w Petersburgu. Wiersz Puszkina jest rymowaną parafrazą początku tego romansu. W wreszcie wypadek jeden jeszcze. W ogromnej literaturze o Gogolu i jego arcydziele „Martwych duszach", daremnieby szukać pytania, skąd pisarz ten wpadł na pomysł nakreślenia sylwetki idealnego, choć papierowego gospodarza, Kostanżogły wzgl. Bostanżogły. Wskazano niegdyś, że pomysłu dostarczył tutaj Bułharyn jednym ze swych romansów, co zresztą słuszne, ale nie dodano, że Bułharyn był w danym wypadku tylko pośrednikiem między Polską a Rosją, między Krasickim a Gogolem. Powtarzam zresztą, że wypadki podobne możnaby znacznie pomnożyć. Nie robię tego, wydaje mi się bowiem, że ilustrują one dostatecznie przekonanie, że zasada wzajemności naukowej polsko-rosyjskiej jest koniecznością. Pogląd ten zresztą również nie jest nowy, sformułowałem go, jako jeden z istotnych postulatów, na

[1] Puszkin wyd. pod red. Wiengierowa, III 332 № 691.

zjeździe polonistycznym w r. 1930 [1]. i sądzę, że miałem i mam słuszność. Co większa, wydaje mi się, że tylko na tej drodze, na drodze rzetelnej pracy z obu stron, na drodze wzajemnej współpracy, a nie na manowcach taniego szermowania efektami dziennikarskiemi trafić można z Polski do Rosji i z Rosji do Polski.

Ryga. *Juljan Krzyżanowski.*

O »BIAŁEM MAŁŻEŃSTWIE« MARYLI

W rozprawie o „Dziadach" („Pamiętnik Literacki" 1933, zesz. II. i odbitka) czerpałem argumenty na poparcie swej teorji o powstaniu tego poematu głównie z dziejów miłości poety, przyczem najważniejszą pozycją była sprawa t. zw. „białego małżeństwa" Maryli. Obecnie dwu wybitnych uczonych, prof. Kleiner (Mickiewicz, I. str. 211) i prof. Sinko (IKC dod. Kurjer Literacko-Naukowy z 7. I. 34) uznali tę właśnie pozycję za straconą i niemożliwą do obronienia, co w rezultacie oznaczałoby przekreślenie wyników całego rozumowania. Fakt, że nie umiałem przekonać czytelników, świadczy tylko o mem niedołęstwie, bo sprawa sama jest, jak mi się wydaje, zupełnie jasną, trzeba ją tylko z dobrą wolą rozważyć. Ufając w tę jasność, pominąłem przeprowadzenie dowodu; czynię to teraz w przekonaniu, że kwestja ta warta jest wyjaśnienia.

Po raz pierwszy opublikował tę wiadomość jako fakt, nie ulegający najmniejszej wątpliwości, jeden z najbliższych, a zapewne też najpoważniejszy z przyjaciół Mickiewicza, Ignacy Domejko. W artykule p. t. „O młodości Mickiewicza", napisanym w formie listu do B. Zaleskiego, a ogłoszonym w lwowskim „Przeglądzie" w r. 1872-im, nie zakończył sprawozdania z dziejów miłości swego przyjaciela wraz ze ślubem Maryli, lecz sięgnął do poślubnego jej życia, takie o niem podając szczegóły:

„(Maryla) żyła z mężem, jak z przyjacielem, jakoby niezamężna; była mu uległą, powolną, ale stroniła od towarzystwa; żyła w domu, choć nie bardzo się zajmowała domem; lubiła czytać, lubiła muzykę, i samotność. Puttkamer [2] szanował ją, a szukał roztargnienia na polowaniu. Po roku, czy dwóch latach, a może i dłużej takiego pożycia zaszła zmiana. Przestrogi i upomnienia matki, spowiednika, a może i pana Michała, poczucie obowiązków i poddanie się opatrzności zniewoliły Marją do ponowienia w sobie ślubu posłuszeństwa mężowi. Widziałem jednak u Marji zawsze jakąś tęsknotę..." [3].

Rozważając te słowa, pamiętajmy, że pochodzą od człowieka bardzo poważnego, któremu za zasługi naukowe Amerykanie postawili pomnik i który nie miał najmniejszego powodu do szukania chwały w ogłoszeniu sensacyjnych plotek. Czas najboleśniejszych zmagań się obojga kochanków z miłością spędził zdala od Wilna, dlatego niektóre wiadomości jego z te-

---

[1] Por. Pamiętnik Zjazdu naukowego im. Kochanowskiego, 1931, str. 167.
[2] Domejko stale pisze jego nazwisko przez „d": Pudkamer.
[3] „Przegląd", 1872, t. II, str. 43.

go właśnie okresu są bałamutne, ale sprawy, dotyczące Maryli, znał dobrze, bo i przedtem, i później, po wywiezieniu Mickiewicza, bywał w domu pp. Puttkamerów częstym i serdecznie przyjmowanym gościem. („Bawiłem często w jej domu i bardzo często rozmawialiśmy z nią i z Puttkamerem o Adamie jako wspólnym przyjacielu"). Mógł więc stosunki sprzed lat kilku poznać dobrze, a opowiadanie jego świadczy o tem istotnie. Bo zważmy, jak psychologicznie prawdziwy, a zgodny ze znanemi skądinąd szczegółami, jest ten obraz młodej mężatki, która żyje z mężem, „jakoby niezamężna" — męża, który, zgodziwszy się na kaprys żony, „szuka roztargnienia w polowaniu", a dobrocią i wyrozumiałością wywoływuje znowu wdzięczność żony i jej uległość. Ciekawem jest, że pomiędzy osoby interwenjujące na korzyść biednego małżonka, wlicza Domejko także brata Maryli, Michała Wereszczakę, o którego wtajemniczeniu w tę drażliwą sprawę musiał niewątpliwie dokładnie być poinformowanym. Chwili zapanowania wśród, pp. Puttkamerów normalnych stosunków małżeńskich nie umie (po tylu latach!) dokładnie określić, ale ze słowami jego doskonale można zgodzić przypuszczenie, że stało się to po ukończeniu procesu filomatów.

Wiadomość ta, podana przez człowieka tak poważnego i tak bliskiego tych stosunków, mogłaby pomimo to wywołać znaki zapytania i wątpliwości, choćby ze względu na swą wyjątkowość, bo przez lat czterdzieści żadne nowe świadectwo jej nie poparło. Dopiero w „Korespondencji filomatów" znalazły się szczegóły, które opowiadanie Domejki popierają i uzupełniają i które bez niego byłyby poprostu niezrozumiałe.

Tak jest właśnie z listem Mickiewicza, napisanym podczas pierwszej od ślubu Maryli, w pół roku po nim, bytności w Tuhanowiczach. Zastał tam tylko Michała Wereszczakę i z nim przepędził kilka dni, poczem wybrał się nad Świteź. I oto tuż przed tą wycieczką nad ulubione jezioro pisze do Czeczota: „Muszę raz jeszcze widzieć rozumie się: Marylę i więcej nigdy nie będę w tych stronach. Iluż dowiedziałem się rzeczy! Przeznaczenie moje estetyczne już rozstrzygnione. Zatrzymam tu rękę, bo dalej pisać nie wypada" [1].

O czem mógł się Mickiewicz dowiedzieć? Co mogło podziałać na niego tak silnie, że postanowił „nigdy nie bywać w tych stronach"? Wiadomość, która go tak zelektryzowała, musiała dotyczyć jego spraw sercowych i łączyć się z dwiema osobami: z Marylą, którą raz tylko jeszcze „musiał" zobaczyć, i z panią Kowalską, bo słowa „przeznaczenie moje estetyczne rozstrzygnione" oznaczają w gwarze filomackiej zerwanie z p. Kowalską. „Rzeczy" więc, o których usłyszał, zapewne od Michała Wereszczaki, wywołały postanowienie zupełnej zmiany życia uczuciowego i pożegnania obu „bóstw", które niedawno (w „Żeglarzu") walczyły z sobą w jego duszy o pierwszeństwo. Dodajmy, że były to „rzeczy" tak dyskretne, iż w toku pisania musiał „zatrzymać rękę", zrozumiawszy, że „dalej pisać nie wypada". Dopiero po powrocie powie przyjaciołom na ucho, co to była za sensacyjna wiadomość, teraz zaś jedzie z Wereszczaką nad Świteź — i tu znowu następuje fakt niezwykły. Oto jedyny raz napisał wiersz w lecie: „w czasie powrotu od jeziora skomponował" [2] „Świteziankę", gdzie w spo-

[1] Korespondencja filomatów, t. III, str. 406.
[2] Por. „Rok mickiewiczowski", Lwów, 1899, str. 265.

sób symboliczny karze siebie za niedotrzymanie jakichś przysiąg Maryli i danie pierwszeństwa p. Kowalskiej [1]. Trudno wątpić, że powstanie tej „królowej ballad" mickiewiczowskich jest w bezpośrednim związku z ową tajemniczą wiadomością, czyli, że jest jej wynikiem. Spróbujmy więc zbadać, odszukać, wykombinować, lub choćby poprostu wymyśleć fakt jakiś, któryby mógł takie skutki za sobą pociągnąć, a chyba żadna wyobraźnia nie znajdzie w granicach prawdopodobieństwa nic bliższego prawdy, ponad relację Domejki.

Jeszcze wymowniejszym jest ustęp z listu do Zana, pisanego z Kowna w październiku 1822 r., a więc w czternaście miesięcy po wzruszeniach świteziankowych a wśród najwyższej temperatury uczuć dla Maryli. Ustęp ten brzmi: „Była teraz w Wilnie Kowalska. Już tylko dla mnie jest panią Kowalską; rzadko widywać się z sobą kazała. Wie o życiu Peri (=Maryli). Co z tej okoliczności między nami zaszło, później opiszę. Wiele uczułem, rozstając się z tak dobrą przyjaciółką, którą teraz najlepiej poznałem" [2].

I w tym wypadku mamy do czynienia z jakimś tajemniczym faktem, który — tym razem z inicjatywy „Wenery Kowieńskiej" — zmienia stosunek miłosny poety z p. Kowalską w zwykłe stosunki towarzyskie. Powodem jest to, że p. Kowalska „wie o życiu" Maryli. Co to znaczy? Wszakże wie o tem, że Maryla żyje, bo to wiedziała oddawna. Więc chyba słowa „o życiu" mają znaczyć „o sposobie życia" — to jasne. Ale cóż w sposobie życia dalekiej młodej mężatki może wywoływać jakieś zajścia między kowieńską parą kochanków, rozstanie się ich, i to w sposób taki, który okazał wysoką wartość moralną p. Kowalskiej? I znowu będziemy napróżno szukali innego logicznego powodu poza tym, który tkwi w opowiadaniu Domejki.

Jeżeli przyjmiemy za podstawę rozumowania relację Domejki, wyjaśnia się odrazu wszystko. W pierwszym wypadku, w sierpniu 1821 roku, Mickiewicz, dowiedziawszy się od brata Maryli o jej poprostu bohaterskim dowodzie miłości ku sobie, czuje się upokorzonym i godnym kary („Świtezianka") i chce się ukarać niewidzeniem jej już nigdy więcej i zerwaniem z wszelkiemi miłostkami kowieńskiemi. W drugim wypadku p. Kowalska, dowiedziawszy się (od filomatów?), jak wzruszającej miłości przedmiotem jest Mickiewicz, usuwa się z drogi nieszczęśliwym kochankom, bo rozumie, że autor „Żeglarza" nie powinien i nie może tak wyjątkowych uczuć profanować. Sprawa jest dziecinnie prosta, ale tylko wtedy, jeżeli „białe małżeństwo" Maryli przyjmiemy jako fakt.

Mogłoby naturalnie zdarzyć się, że brat Maryli minął się z prawdą, a skutki rozpowszechnionej przez poetę wersji nie zmieniłyby się bynajmniej, przynajmniej aż do chwili ustnej rozmowy obojga kochanków dn. 14 i 15 października 1822 r. Ale przeciw takiemu przypuszczeniu — zresztą niczem nieuzasadnionemu — świadczą wyraźnie szczegóły, zawarte w liście Czeczota do Mickiewicza z dn. 28-go września [3]. Najpierw jednak trzeba w kilku słowach wyjaśnić genezę tego listu. Oto rodzajem pośrednika pomiędzy Mickiewiczem i Marylą był Tomasz Zan, który bywał częstym go-

---

[1] Zob. M. Szyjkowski: Mickiewicz w świetle nieznanych pism. Bibl. Warszawska, 1910, II, str. 563 i n.

[2] Koresp. filomatów, IV. 283.

[3] Koresp. filomatów, t. IV. Str. 264 i in.

ściem w Bolciennikach pp. Puttkamerów i w swoich „Rozdziałkach" pod zmyślonemi imionami i w półpowieściowych przenośniach przemycał wieści z Bolciennik do Kowna i z Kowna do Bolciennik. Ale Zan patrzał na wzrost temperatury uczuciowej swych młodych przyjaciół niechętnie i z widoczną obawą, że lada chwila może z niej wybuchnąć pożar i sprowadzić katastrofę. W pewnej chwili oświadczył wyraźnie, że „woli być uważanym za człowieka mało troszczącego się o dobro i szczęście przyjaciół, jak za pośrednika, któryby zimne lecz rzeczywiste i trwałe przyjemności na gorące a urojone zamieniał". Wobec tego postarała się Maryla o innego pośrednika. Objawiła chęć poznania najserdeczniejszego i najbardziej oddanego Mickiewiczowi przyjaciela, Czeczota i zaprosiła go do Bolciennik, położonych tuż pod Wilnem. Po drugiej czy trzeciej takiej wizycie napisał Czeczot list, w którym uważny czytelnik odczuje natychmiast silne a powstrzymywane wzruszenie. W skróceniu list ten brzmi:

„Kochany Adamie! Niech wstąpi w serce Twoje pociecha i nadzieja!..." Ale widocznie miał Czeczot polecenie pisania niejasno i tylko lekkiego potrącenia, jakby mimochodem, o rzecz właściwą, więc po zbyt obiecującym wstępie zaczyna kołować. Oto „powrócił Joachim (Lelewel) i przywiózł wesołe wieści, że książe (Czartoryski) o tobie najmocniej pamięta... że cię sam rozsławia. Na dowód pamięci o tobie przysłał ci przez Joachima 300 rubli w prezencie... Pocieszył nas także (Lelewel), że łatwo będzie pokonać wszystkie trudności w dostaniu pasportu, ale trzeba czekać wiosny... Tak tedy, Adamie... uda się nam niewątpliwie wiosną... choćby przyszło poruszyć niebieskie i piekielne mocy, dostać pasport na Riesen-Gebirge, nad któremi się tak unosisz, dla naprawienia twojego zdrowia i szczęścia". I teraz dopiero, zaciekawiwszy zapewne przyjaciela, w jaki sposób pobyt w górach ma mu naprawić nietylko zdrowie, ale i szczęście pisze dalej, jakby odniechcenia, o Maryli; „Marja zdrowa... Ma i ona swoje nadzieje, że, jak tylko pomyślnie pójdzie owa duża sprawa o sukcesję firlejowską, jak będzie mieć pieniądze, zaraz pojedzie zagranicę, a szczególniej myśli być w Dreznie. Da może Bóg i złagodzony tylu już cierpieniami naszemi los, że te nadzieje się ziszczą... I ja sądzę, że, gdybyście wy (t. j. Mickiewicz i Maryla) mieli więcej męstwa, a... chcieli się ratować, bylibyście pewniej przybili do brzegu a dzień szczęścia dla wasby zajaśniał.., Mój Adamie, ile możesz, pokoju duszy szukaj, nie psuj zdrowia: obaczysz, że będzie dobrze. Soyez grand! [1] Stałości jednej potrzeba, a wszystko zwyciężymy".

Pokazuje się więc, że to, co uchodziło za kaprys Maryli, było sprytnie obmyślonym planem. Otrzymawszy spadek, miała ona pojechać do Drezna, tak blisko położonego od „Gór Olbrzymich", w których miał szukać zdrowia i odpoczynku Mickiewicz, a „białość" jej małżeństwa dawała jej możność prawie natychmiastowego otrzymania rozwodu i wzięcia nowego ślubu — z Mickiewiczem. To też Czeczot, wspomniawszy o planach wyjazdu Maryli do Drezna, odrazu, bez żadnego przejścia pisze „wy", łącząc ją w planach ze swym przyjacielem tak swobodnie i naturalnie, jakgdyby nie była żoną Puttkamera, ale narzeczoną Mickiewicza: „dzień szczęścia dla wasby zajaśniał".

---

[1] Słowa z listu Maryli do Mickiewicza.

Jak Mickiewicz przyjął ten list i co z tego wynikło, to nie należy już do sprawy, określonej w tytule. Uważny Czytelnik sam sobie wysnuje z tego materjału, który mu tu podano, wnioski ostateczne.

Lwów. *Tadeusz Pini.*

NA ROZDROŻACH ESTETYKI

O kryzysie estetyki mówią najwięcej i najgłośniej specjaliści, zajmujący się tą dziedziną naukową. Szereg rozpraw, ogłoszonych w czasach ostatnich, zaczyna się od wyrzekań na obecny stan rzeczy. Uczeni odczuwają potrzebę dokonania gruntownej przemiany, ale najczęściej kroczą utartemi szlakami metodycznemi i pod wpływem jakiejś sugestywnej hipotezy tworzą nową teorję, równie ułomną, jak dawniejsze. W zbiorze recenzyj p. t. „Z estetyki francuskiej w ostatniem dziesięcioleciu", drukowanym w roczniku 1931 „Pamiętnika Literackiego", usiłowałem zilustrować gorączkowe wysiłki współczesnych badaczy piękna i — mierność osiąganych przez nich wyników. Najwięcej pierwiastków pozytywnych wnoszą uczeni, którzy rezygnują z prób naprawy i przebudowy tradycyjnego dorobku i zmierzają do oparcia estetyki na zupełnie nowych podstawach, zmieniających jej zadania i charakter (Etienne Souriau, Monod-Herzen).

Nauka o literaturze jest w pewnym stopniu uzależniona od postępów estetyki. Rozbiór szeregu doniosłych problemów literackich okazuje się możliwy dopiero po przyjęciu zgóry pewnych założeń estetycznych, których chwiejność i niezdecydowanie w oczywisty sposób utrudniają osiągnięcie pozytywnych wyników pracy naukowo-literackiej. Często wypada poddawać rewizji panujące poglądy estetyczne lub godzić sprzeczności, zachodzące między poszczególnymi teoretykami, co nadmiernie rozszerza zakres badań literackich i oddala je od celów podstawowych. Z drugiej strony studjum literatury może i powinno dostarczać estetyce materjał do opracowania. Łączność między obu gałęziami pracy naukowej jest widoczna i niedostateczne jej podtrzymywanie byłoby niekorzystne dla obu stron. Jednak dopiero czasy najnowsze przyniosły poważniejsze rozprawy o charakterze estetyczno-literackim. Jest pewna ironja w tem, że zbliżenie nauki o literaturze do estetyki zachodzi w dobie wyraźnego krytycyzmu względem nauki o pięknie.

Na gruncie polskim estetyka stanowi dotychczas bardzo skromną pozycję w ogólnym bilansie życia nakowego. W okresie powojennym zajmowano się nią najczęściej przelotnie, w celu wykucia oręża dla jakiejś nowatorskiej dokryny artystycznej. Warto zauważyć, że obecne trudności i załamanie się estetyki wyniknęły w znacznym stopniu z bujnego fermentu artystycznego epoki powojennej, gdyż nowe formy ekspresji i odczuwania zadały w znacznym stopniu kłam dawnym teorjom, które wobec ustawicznego odnajdywania nieprzewidzianych możliwości okazały się wyraźnie za wąskie. Cenna „Filozofja sztuki" Sobeskiego wobec biernej postawy czytelników nie znalazła należytego oddźwięku. „Wstęp do estetyki nowoczesnej" Ady Werner-Silberstein ukazał się na kilka lat przed wojną i mimo, że wprowadzał czytelnika odrazu w zawiły gąszcz problemów estetycznych, pozostał bez echa.

Dalecy jesteśmy od żywotności epoki romantycznej, w której myśl polska zdobywała się na ciekawe koncepcje estetyczne, wprawdzie nieoryginalne, ale imponujące rozmachem i wielostronnością.

Rok ubiegły przyniósł poważne dzieło, które stanowi owoc samodzielnych badań i rozmyślań. Książka Stanisława Ossowskiego „U podstaw estetyki" (Warszawa 1933, Kasa im. Mianowskiego — Instytut Popierania Nauki, str. VIII+305+3 nlb.), odznacza się charakterystycznemi cechami współczesnej estetyki. Sam tytuł wskazuje wyraźnie na niezadowolenie autora ze stanu obecnego i na wyczucie konieczności rewizji. Nie oglądając się na cudze sądy, poszedł drogą własną, usiłując przedewszystkiem wyznaczyć przedmiot estetyki. Rozumiał dobrze, że wyjaśnienia i wnioski zależą od doboru materjału. Ponieważ dawne definicje piękna zreguły okazywały się za wąskie, przeto ambicją autora było zgromadzenie materjału jak najobfitszego i jak najpełniejszego, bez względu na to, czy będzie on dogadzał tej czy innej teorji. Do zagadnienia piękna zbliżył się z niezapisaną kartą, starając się uniknąć apriorycznych założeń.

Stanowisko tego rodzaju należy uznać w zasadzie za słuszne. Podobną metodą posługuje się nauka na szeroką skalę. Jednak na gruncie wartości kulturalnych zastosowanie jej nasuwa odrazu poważne trudności. Podział i ugrupowanie przedmiotów, stanowiących elementy rzeczywistości, jest sprawą znacznie prostszą, niż nagromadzenie i klasyfikacja zjawisk kulturalnych. Przedmioty konkretne można dobierać na zasadzie podobieństwa pod zgóry przyjętym względem. Uchwycenie podobieństw w sferze kulturalnej zależy w dużym stopniu od czynników subjektywnych. Dlatego występuje najaw potrzeba oparcia się mimo wszystko na jakiemś określeniu, choćby prowizorycznem, co znów stawia pod znakiem zapytania zasadę objektywności w doborze faktów. Autor usiłował przezwyciężyć te trudności, obierając określenie bardzo ogólne, w którego zakresie muszą się pomieścić wszystkie wartości estetyczne: „Nie posiadając ogólnych określeń, będę się w wyborze materjału posługiwał przedewszystkiem dziełami o ustalonej mniej więcej reputacji estetycznej, następnie zaś będę korzystał z takich różnych ocen, w których kwalifikuje się przedmioty jako „piękne", „estetyczne", „budujące zachwyt", „podobające się", „budzące estetyczne wzruszenie" (str. VII). Stwierdzić trzeba, że w tak rozległych ramach pomieścić się mogą nietylko wypadki wątpliwe, ale łatwo może się w nich znaleźć miejsce dla zdecydowanych przybłędów. „Podobanie się" to termin bardzo niebezpieczny, gdyż stosuje się zbyt często do czynników, które nie mają nic wspólnego z estetyką. Autor wprawdzie spieszy dodać, że jego kwalifikacja „może mieć inny sens wynikający ze zwyczajów językowych" i zapewnia o swej ostrożności, ale przy największej uwadze trudno w podobnych wypadkach uniknąć błędu wieloznaczności. Wywodom rozprawy grozi zatem — w przeciwieństwie do wielu innnych studjów na podobne tematy — nadmierne rozszerzenie zakresu rozważań.

Obranie rozległej podstawy klasyfikacji estetycznej kryje w sobie — niezależnie od intencyj autora — pewien sens społeczny. Stosunek jego do zagadnienia piękna nie ma w sobie nic z wyłączności elity umysłowej czy artystycznej i zawiera ciche uznanie prawa każdego człowieka do wzruszeń estetycznych. Niema w rozprawie miejsca na selekcję tych wzruszeń, na ich wartościowanie, — są to sprawy dalsze, o których trudno mówić u podstaw estetyki. Ten liberalizm estetyczny był często zwalczany po-

ważnemi argumentami, których Ossowski zupełnie nie uwzględnił. P. Werner-Silberstein we wspomnianej książce wyraża pogląd, że jeśli prostak uznaje za brzydkie to, co sąd, złożony z najpierwszych artystów ogłasza za arcydzieło, to zdaniu jego niepodobna przyznać równej wartości: „Obecnie jest już pewne, że jeśli np. malowidło podoba się komuś dlatego, że go rozczula, lub przedstawia scenę pikantną, że, jeżeli portret podoba mu się dlatego, że przypomina drogą osobę, zaś obraz historyczny dlatego, że powiadamia go o ważnem wydarzeniu, wówczas sądy jego nie są wyrazem reakcji estetycznej" (str. 18). Nie zamierzamy stawać w obronie takiego ujęcia kwestji, które także nie jest zabezpieczone od zastrzeżeń; chodzi tylko o podkreślenie przesadnej śmiałości omawianej rozprawy przy posuwaniu się na terenie chwiejnym i niepewnym. Bezwzględność wnioskowania stanowi charakterystyczną właściwość książki; polemika przeprowadzona została jakby odniechcenia, bez należytej staranności, wskutek czego siła przekonywająca rozważań, zwłaszcza w części syntetycznej, stoi pod znakiem zapytania.

Najcenniejszą pozycją rozprawy jest jej część pierwsza, która zawiera przegląd przedmiotów i zjawisk, wywołujących wrażenie estetyczne. Niezależnie od tego, czy przyjmie się za słuszne liberalne określenie wstępne wrażeń estetycznych, o którego słabości była już mowa, jest rzeczą ważną ustalenie, co w psychice ludzkiej wywołuje uczucie, któremu przypisuje się wartość estetyczną. Można potem, jeśli zajdzie potrzeba, dokonać wyboru, odrzucić to, co do estetyki nie należy, ale najpierw trzeba zgromadzić wszystko, co może być wzięte w rachubę. Objektywny przegląd zakresu estetyki był potrzebny choćby dlatego, że wykazał, jak poważne trudności napotyka każda próba ujęcia tak wielkiego bogactwa w ramy jednej kategorji. Zalety autora: duża wrażliwość i chłonność oraz zrozumienie dla różnych typów odczuwania i odrębności kulturalnych w połączeniu z dobrą znajomością poszczególnych dziedzin sztuki nadają jego wywodom analitycznym znaczenie nieprzemijające. Pewne braki schodzą na plan daleki wobec ważności tego, co autor zdołał odkryć i powiedzieć.

Przegląd zaczyna się od uwydatnienia możliwości piękna w zjawiskach najprostszych — barwie i dźwięku; dalej jest mowa o układach w przestrzeni i czasie (formy przestrzenne, rytm), najpierw niezależnie od czynników jakościowych, potem zaś z uwzględnieniem ich współudziału (gra barw, układy brył). Ciekawe są uwagi, poświęcone organizacji tonów w muzyce (melodja, współbrzmienia, tonacje, modulacje). Interpretacja „rozumienia" muzyki posiada pewne znaczenie dla literatury, w której twórcy nieraz świadomie rezygnują z treści pojęciowej. Ossowski stoi na stanowisku, że dźwięki nie posiadają funkcyj semantycznych, przeto „zrozumienie" utworu muzycznego polega na uchwyceniu praw organizacji dźwięków. Naodwrót w poezji, jak wskazuje choćby przykład „Słopiewni" Tuwima, nie można całkowicie wyeliminować czynnika semantycznego. Szeroko omówiona została wartość estetyczna realnych przedmiotów, o której, zgodnie z powszechnemi sposobami odczuwania, ma rozstrzygać nietylko wygląd, lecz i materjał, np. świątynia, zbudowana z masy papierowej, nie czyniłaby takiego wrażenia, jak pomnikowe budowle z kamienia. Nie widzimy w rozbiorze czynników estetycznych przez p. Ossowskiego należytego uwzględnienia piękna ruchu, jako przeciwstawienia się martwocie i statyczności. Piękne są nietylko układy, ale również ich zmiany, np. układ plam barwnych może być

estetycznie obojętny, natomiast gra tych samych kolorów może się podobać.

Na teren sztuki przechodzi autor w części drugiej swego studjum, poświęconej odtwarzaniu rzeczywistości. Stojąc na stanowisku psychologa, nie uległ sugestji nowszych teoryj i objektywnie określił popęd do odtwarzania, jako jedną z prymitywnych, lecz ważnych tendencyj w dziejach twórczości artystycznej. Rozważania na temat stosunku sztuki do przedmiotów rzeczywistych cechuje przenikliwość i precyzja; należą one do najbardziej zajmujących w całej książce. Niektóre spostrzeżenia w tej materji (np. uwagi o naturalizmie — str. 105, impresjonizmie — str. 116 i nast.) winny być brane pod uwagę w nauce o literaturze. Realizm był często interpretowany zbyt jednostronnie. Autor dokonał relatywizacji tego pojęcia i wykazał, że t. zw. „zgodność z rzeczywistością” bywa pojmowana w rozmaity sposób. Naogół wnioski rozprawy spieszą w sukurs zwolennikom realizmu, który w czasach ostatnich coraz silniej opanowywa literaturę. Zajmujące jest owo współczesne występowanie podobnych objawów w luźno jedynie powiązanych dziedzinach pracy kulturalnej. Wspominając o występowaniu różnych prądów (jak formizm, ekspresjonizm, symbolizm etc.) przeciwko trosce o piętno odtworzonego przedmiotu, Ossowski w samej intensywności walki widzi dowód, że piękno tego rodzaju jest w sztuce pozycją ważną i że niełatwo się go wyrzec. W twórczości literackiej bezpośrednie oddziaływanie na zmysły czytelnika jest niemożliwe — dzieła poetyckie podają tylko schematy (Ingarden); ale i tu piękno opisywanych przedmiotów ma duże znaczenie: „Opis staje się... surogatem obrazu, tak jak obraz może być uważany za surogat rzeczywistości wyobrażonej” (str. 166).

Na czasie są również myśli, wypowiedziane w rozdziale p. t. „Estetyczne znaczenie pozaestetycznych własności przedmiotu odtwarzanego”. Chodzi w nim o wyjaśnienie, w jakiej mierze wartość dzieła sztuki zależy od tego, czem jest jego desygnat (bez względu na to, jak wygląda). Słusznie podkreślona została rola ważności i wzniosłości tematu, tak lekceważonych w okresie eksperymentów formalnych. Czasem powieść nie podoba się tylko dlatego, że przedmiot jest zbyt błahy. Claudel nie lubił czytać Prousta, gdyż, jak mówił, nic go nie obchodzą małostkowe przeżycia snobów. W tem miejscu nasuwa się jednak uwaga, czy w danym wypadku chodzi o przeżycia estetyczne, czy o jakieś uczucia złożone. Koszt obrazu również ma wpływ na nasze przeżycia — jesteśmy skłonni do przeceniania rzeczy drogich; czy jednak w oczach znawcy obraz posiada większą wartość dlatego, że snob zapłacił zań wielkie pieniądze? A przecież, idąc torem rozumowania autora, musielibyśmy czynnik wartości pieniężnej uważać za jeden ze składników przeżycia estetycznego. Wyczuwamy, że jakaś izolacja wartości estetycznych musi być dokonana. Wywodom rozprawy trzeba w każdym razie wytknąć nieintuicyjność.

Część trzecia, poświęcona zagadnieniom ekspresji, zajmuje się pięknem, wynikającem z wyrażania w określonym materjale przeżyć ludzkich. I znów cenne rozbiory pojęć usuwają niejedno nieporozumienie. Najsilniejszy jest autor tam, gdzie chodzi o rozwikłanie wieloznaczności terminów lub o należyte oświetlenie hipostaz. Dyscyplina słownictwa, wrażliwość na odcienie semantyczne, wymykające się zwykłemu oku — oto niewątpliwe zalety książki.

Słabe jej strony występują najaw, gdy autor usiłuje wyprowadzić wnioski ogólne z dokonanego przeglądu zjawisk estetycznych. Energicznie rozprawia się Ossowski z dotychczasowemi próbami definicji piękna, wykazując, że żadna z nich nie mieści całego bogactwa świata estetycznego. Niepodobna dopatrzyć się jakiejś wspólnej cechy w przedmiotach, wywołujących zachwyt — należą one do różnorodnych kategoryj i łączy je chyba tylko to, że wywołują podobne wrażenie. Lecz i charakterystyka tego wrażenia napotyka wielkie przeszkody. Czy istota jego polega na izolowaniu przedmiotu od rzeczywistości? Czy chodzi o aintelektualną kontemplację? Czy postawa estetyczna — to zajmowanie się wyglądem przedmiotów bezpośrednio? Wszystkie te pomysły autor odrzuca. Nie oszczędza nawet kantowskiej teorji bezinteresowności stanów estetycznych.

A więc — rezygnacja na całej linji. Wysunięta wprawdzie została koncepcja, iż w zabawach i w stanach estetycznych „żyjemy chwilą", ale skolei i to, nieśmiało zresztą zredagowane przypuszczenie należy chyba odrzucić. Można bowiem wskazać przeżycia, których wartość estetyczna polega na ich przyszłościowym charakterze. Architekt, przeglądając plan budynku, doznaje zachwytu dopiero wtedy, gdy suchy schemat ubierze w ciało, gdy uzmysłowi sobie przeznaczenie i użyteczność projektu. Naodwrót, gdy zapoznajemy się z improwizacją np. Deotymy, możemy doznać zachwytu jedynie wtedy, gdy przerzucimy pomost wstecz, umieszczając utwór na tle odpowiedniej scenarji. Oczywiście te i tym podobne wypadki możnaby zapomocą sztuczek dialektycznych wtłoczyć w ramy podanego określenia, lecz wynik nie zadowoliłby nikogo.

Podstawy estetyki okazały się w oczach Ossowskiego kruche i słabe, co podkreślił z dużą stanowczością i siłą: „Widocznie wartości estetyczne — wbrew potocznie przyjętej opinji i wbrew naszym prowizorycznym założeniom — nie są przypisywane przedmiotom jedynie tylko ze względu na pewien typ przeżyć, jakie tym przedmiotom zawdzięczamy. Widocznie żaden określony typ przeżyć nie jest warunkiem wystarczającym naszych ocen estetycznych, a może nie jest także warunkiem niezbędnym" (str. 283). Wobec tego, że niema osobnej klasy „przedmiotów estetycznych", odrębna nauka estetyki nie ma uzasadnienia.

Skądże to tragiczne nieporozumienie, któremu ulegał szereg pokoleń, uparcie goniący za majakiem „nauki o pięknie?" Całe zło opierało się zdaniem autora na nieporozumieniu terminologicznem. Przy określaniu przeżyć estetycznych pomieszane zostały dwie odrębne dziedziny: przedmiotów i przeżyć. Sztuka narzuciła badaniom estetycznym charakterystyczne piętno. Toteż w estetyce występowało równolegle wartościowanie ze względu na piękno i ze względu na artyzm. O piękie może wyrokować każdy, kierując się choćby subjektywnemi wrażeniami; o artyzmie rozstrzygają fachowcy. Pierwszy z tych czynników może zbadać i wyjaśnić psychologja; drugi należy do nauki o wytworach ludzkich, o kulturze. Na estetykę autonomiczną niema zatem miejsca: zakres jej winien być podzielony między inne nauki. Oczywiście może tu być mowa jedynie o estetyce w znaczeniu tradycyjnem; próby jej przebudowy, dokonywane np. przez głosicieli nauki o formach, nie zostały wzięte pod uwagę.

Sprowadzanie „filozofji piękna" do rzędu formalnych nieporozumień jest typowe dla umysłów, które rozwiązań poszukują przedewszystkiem na drodze dialektycznej. Nie wydaje się jednak, by silna potrzeba wewnętrz-

na, nakazująca wyodrębnienie zjawisk i rzeczy pięknych z otaczającego świata, mogła się tłumaczyć całkowicie nieścisłością terminologji. Wątpliwe się wydaje również, czy proponowany rozbiór estetyki przyniesie poważniejsze korzyści poznawcze. Niejeden z dawnych badaczy piękna dostrzegał ów subjektywno-objektywny charakter estetyki, o którym mówi p. Ossowski, ale nie wyciągał stąd tak radykalnych wniosków, stawiając ponad negację hipotezy heurestyczne. W każdym razie nawet pogodzenie się z tezą końcową autora nie rozstrzyga pytania, czy osobne omawianie zjawisk estetycznych nie byłoby mimo wszystko wskazane ze względów pragmatycznych. Formuła logiczna nie wyruguje instynktów i nie zaspokoi potrzeb. Oczywiście należałoby estetykę gruntownie przekształcić, określić wyraźnie jej granice, możliwości i cele. Musiałaby zrezygnować z dążeń absolutystycznych, a zapewne także z izolacji metodycznej.

Estetyka w dobie obecnej traci wyraźnie dawne swoje znaczenie i spośród tak zwanych niegdyś nauk „filozoficznych" przeżywa najostrzejszy kryzys. Rola jej wyraźnie się kurczy; w pracy nad wytworzeniem poglądu na świat odgrywa rolę podrzędną. Daleko odbiegliśmy od czasów, w których estetyka rościła pretensje do nadawania tonu innym dyscyplinom. Osiągnięte przez nią rezultaty w świetle krytyki przedstawiają się dość skromnie. Czy jednak wyczerpała wszystkie swoje możliwości? Uproszczenia myślowe Ossowskiego zapewne sprawy ostatecznie nie rozstrzygają. Mają one jednak znaczenie o tyle, że w pełni unaoczniają trudności, jakie ma do zwalczenia nauka o pięknie.

Warszawa. *Mieczysław Giergielewicz.*

M A T E R J A Ł Y

LIST PIOTRA KMITY POLECAJĄCY ERAZMA OTWINOWSKIEGO

W rękopisie biskupiego archiwum warmińskiego we Frauenburgu, sygn. D. № 9, znajduje się, jako № 19, list polecający Piotra Kmity, kasztelana krakowskiego, do biskupa chełmskiego Tiedemana Giesego, dany Erazmowi Otwinowskiemu. List ten, oraz dopiski Giesego na innych dwu listach, świadczące, że listy te doręczył Giesemu Erazm Otwinowski, pozwalają uzupełnić wiadomości, jakie o Er. Otwinowskim podał prof. Kot w Sprawozdaniach Pol. Ak. Um., t. XXXV, nr. 5, str. 6—8. W dn. 27 lub 28 lipca 1548 r., opatrzony w list polecający Kmity, wyruszył Otwinowski do Chełmna, by przyjąć służbę na dworze biskupim przyjaciela Kopernika, Tiedemana Giesego. Przy okazji wziął list Jana Tarnowskiego do Giesego. Biskup chełmski na obu listach dopisał: „5 Augusti 1548 per Erasmum". Już jako dworzanin Giesego był na sejmie piotrkowskim w r. 1549. Z Piotrkowa ruszył spowrotem do Chełmna 4 lutego, wioząc list gratulacyjny Jana Tarnowskiego, który winszował Giesemu godności biskupa warmińskiego, którym Giese świeżo został mianowany. Otwinowski oddał ten list 8 lutego, jak wynika z dopisku biskupa: „8 februarii per Erasmum".

Rychła śmierć Giesego (1549) pozbawiła Otwinowskiego opiekuna. Wrócił więc na dwór Kmity, by po jego śmierci przejść na służbę do wojewody krakowskiego, Stanisława Tęczyńskiego.

Kraków. *Ludwik Nowak.*

Piotr Kmita do biskupa chełmskiego, Tiedemana Giesego

Reverendissime in Christo pater, domine amice observandissime atque honorandissime. Salutem plurimam et sui amicam commendationem.

Quod hunc adolescentem, Erasmum Othwinowski, gratia sua complecti dignatur, ago habeoque illi grates. Quem ego itidem hic monui, ut gratiam Vestrae R-mae P-tatis sibi demereatur.

Egi apud Sacram Majestatem Regiam et absentiam Vestrae R-mae P-tatis excusavi, quae non tam negligentiae, quam aetati illius gravi veniam dare dignata est, quod Serenissimi sui parentis exequiis et funeri non interfuit, agamque, ut eius Majestatis uberiorem gratiam Vestra R-ma P-tas cognoscat. Vellem enim ut in hoc ita in caeteris Vestrae R-mae P-tatis complacere.

Commendo iterum eum adolescentem in griatiam Vestrae R-mae P-tatis, et rogo, ut illum [1] gratia sua complecti dignaretur, ego vero vicissim, in quibus complacere possem Vestrae R-mae P-tatis, eidem gratificari non obmittam. Quem optime et feliciter valere cupio.

Datum Cracoviae feria secunda post festum diem S. Jacobi apostoli [27 lipca] anno 1548.

Vestrae R-mae P-tatis totus

Petrus Kmitha comes in Wisnicze, palatinus et capitaneus generalis Cracoviensis.

Idem manu propria P[etrus] K[mitha].

Przekład

Przewielebny w Chrystusie ojcze, panie a przyjacielu najczcigodniejszy. Pozdrawiam wielce i przyjacielskiej łasce się polecam. Dziękuję Waszej Wielebności, że tego młodzieńca, Erazma Otwinowskiego łaską swoją otoczyć raczysz. Ja go tu napomniałem, aby sobie na łaskę Waszej Wielebności zasłużył.

Zabiegałem u Króla JMości i usprawiedliwiłem nieobecność Waszej Wielebności; ten nietyle niedbałości ile podeszłemu wiekowi Wielebności Waszej wybaczyć raczył, że Wielebność Wasza nie wziął udziału w egzekwjach i w pogrzebie rodzica Króla JMości; będę też zabiegał, by Wielebność Wasza doznała obfitszej łaski JKM-ci. Chciałbym bowiem tak w tem, jak i w innych sprawach przypodobać się Wielebności Waszej.

Polecam powtóre tego młodzieńca łasce Waszej Wielebności i proszę, abyś go łaską swoją otoczyć raczył. Ja zaś nawzajem w czem mógłbym się przypodobać Wiel. Waszej, wywdzięczyć się nie omieszkam....

Dan w Krakowie w drugi dzień po św. Jakóbie apostole, w r. 1548.

Waszej Wielebności cały: Piotr Kmita hrabia na Wiśniczu, wojewoda i generalny starosta krakowski.

Toż ręką własną: P(iotr) K(mita).

PIERWODRUK WIERSZA MICKIEWICZA »SŁOWICZKU MÓJ...«

Dotychczas sądzono, że wiersz ten, przesłany Bohdanowi Zaleskiemu w liście z dn. 15 sierpnia 1841 r., został po raz pierwszy wydrukowany w „Przyjacielu Ludu" (Leszno, 1843, str. 144). Aliści, jak się okazuje, ukazał się on wpierw w „Przeglądzie Narodowym" (red. przez H. Skimborowicza i E. Dembowskiego w Warszawie) w nr. 24 z dn. 20 sierpnia 1842 r. na str. 948—9. Dostarczył go tam niewątpliwie Bohdan Zaleski, który w nr. po-

[1] W oryginale: illud.

przednim, 23, tegoż „Przeglądu" na str. 887—8 umieścił pod inicjałami J. B. Z. wiersz „Jeniusz" (w spisie rzeczy: Jeniusz-bohater).

Wiersz Mickiewicza posiada postać wybitnie zniekształconą, prawdopodobnie z winy samego Zaleskiego, od którego też zapewne pochodzi tytuł:

PIEŚŃ
PRZY POŻEGNANIU PIEWCY
Do.......

Słowiku [!] mój, — a leć a piéj
Dla [!] pożegnania [!] piej!
Wylanym łzom
Spełnionym snom
Skończonej piosence [!] twéj!
Słowiku [!] mój! twe pióra zziéj [!]
Sokole skrzydła weź
I w ostrzu szpon
Żałobo [!] stron
Dawidzki hymn tu nieś!
Bo wyszedł głos, a [!] padł już los
I tajne brzemie [!] lat
Wydało płód,
I stałość [!] cud, —
I rozraduje świat.

Wiersz nie podzielony na strofy. W tytule po *Do* — siedem kropek zapewne oznacza: ...Bohdana. W spisie rzeczy czytamy: „Pieśń przy pożegnaniu piewcy p. M.".

Wiersz Zaleskiego, o którym mowa powyżej, zapewne został napisany z myślą o Mickiewiczu właśnie. Niedalej jak 15 lipca 1842 napisał był Bohdan list do Goszczyńskiego, w którym ostro osądzał Mickiewicza i Towiańskiego; pozostawał też naonczas w ożywionej korespondencji z ks. Semenenką i Grzymałą (J. Tretiak: B. Zaleski, Kraków 1914, cz. II, str. 187—193). Wiersz ten brzmi:

Bóg — Wszechmądry — Wszechmocny, wszystko wie i może
Nieogarniony — Wieczny — płodzi z cudów cuda
Odbite w źdźble — w człowieku — to mistrzostwo boże
Wzbudzi — z umem i wolą świata wielkoluda.
Patrzaj! mąż zadumany niby sam w pustyni,
Łaknie się rozwielmożyć, zawiekować w cudzie;
Inaczej czuje — myśli — niż powszedni ludzie
Co uczuje, wymyśli — inaczej uczyni
Klaska mu albo świszcze motłoch pospolity
Mędrsi się [?] podziwiają — a nikt nie docieka
Co znaczą te po lutni po mieczu zaszczyty?
Na jaki cel takiego Pan posłał człowieka?
Jeśli pyszny — to szatan (szatan był aniołem)
Anioł — jeśli przed Bogiem w proch korzy się czołem!

Wilno. *Stanisław Cywiński.*

OSTATNI LIST DAGNY PRZYBYSZEWSKIEJ

Tragiczna śmierć Dagny Przybyszewskiej znalazła udokumentowane oświetlenie w kilku listach jej zabójcy, Władysława Emeryka, ogłoszonych przez Boya-Żeleńskiego w Wiadomościach Literackich, nr. 515, z dn. 8 października 1933. Stan duchowy i sytuację życiową ofiary w danej chwili maluje list jej, pisany do męża, Stanisława, bodaj w samym dniu zabójstwa, bo 22 maja 1901 w Tyflisie. Cenny ten i ciekawy dokument znajdujący się w posiadaniu p. Anny Jarockiej w spuściźnie po matce jej, Jadwidze Przybyszewskiej, składa się z ćwiartki papieru listowego 18×11 cm. koloru żółtawego. Charakterem pisma,

szeregiem przekreśleń i podkreśleń, kilku plamami rozlanego atramentu, kolejnością zapisywanych stronic, z których drugiej należy się miejsce ostatnie, pozdrowieniami i podpisem, świadczy o najwyższym stopniu zdenerwowania i „zbiciu z tropu" piszącej, o czem zresztą wyraźnie mówi. List jest bez daty, ale zachowana koperta stemplem nadawczym i odbiorczym precyzuje dokładnie jego napisanie i drogę do adresata.

Warszawa. *Stanisław Helsztyński.*

TEKST

Koperta.

Австрія Oesterreich

Wielmożny Pan
Stanisław Przybyszewski

Kochanowskiego 15 a ptr.

Lemberg

Stempel nadawczy: Tyflis 22. V. 1901.

Na odwrocie: drugi raz stempel nadawczy wpoprzek znaczka pocztowego — Tyflis 22. V. 1901.

Stempel odbiorczy: Lemberg — Lwów 25. V. 01 [1].

List:

Mein Verstand steht still. Einen ganzen Monat kein Wort. Ich habe telegrafiert nach Krakau, nach Lemberg, nach Warschau — keine Antwort. Gut!

Wir fahren morgen von Tiflis fort zu dem Associé von Emeryk, auf dem Lande in der Nähe vom schwarzen Meere.

Ich kann selbstverständlich nichts ordnen, bevor ich irgend eine Nachricht von dir habe. Meine Adresse bleibt Grand Hôtel, Tiflis.

Sehr wichtig!

Du musst absolut pr. umgehend einen Pass für mich und Zenon [2] hier — schicken. Ich kann grosse [3] Unannehmlichkeiten bekomnen.

Du versprachst mir ein [4] Passport den zweiten Tag zu schicken!

Ich bitte dich sehr: thue es und pr. umgehend.

Emeryk amfarner dig mange, mange gange! Jeg er forblöffet, komplet forbloffet [5].

Zenon kysser dig [6].

Dagny.

---

[1] Data mało czytelna.
[2] Syn Dagny i Stanisława Przybyszewskich, ur. 28 września 1895.
[3] Następuje wyraz przekreślony i zalany atramentem.
[4] Zdenerwowanie biednej piszącej, zmieniającej rodzajnik rzeczownika.
[5] Emeryk ściska Cię wiele, wiele razy. Ja jestem zbita z tropu, zupełnie zbita z tropu.
[6] Zenon całuje cię.

R E C E N Z J E

HISTORJA LITERATURY I WIEDZA O LITERATURZE

MAHRHOLZ WERNER: Literargeschichte und Literarwissenschaft, zweite erweiterte Auflage, durchgesehen und mit Nachwort von Professor Franz Schultz. Mit einem Anhang: Winke für das Studium der neueren deutschen Literaturgeschichte. Leipzig [1933], Alfred Kröner Verlag, str. XI, 244.

Dziejowem to prawem, że nadchodzące kataklizmy zapowiadają się najpierw w świecie ducha; sztuka i nauka wcześnie odczuły, że nasze czasy wchodzą w fazę kryzysów i przełomów, których cechami są: rozrzutne szafowanie bogactwem budzących się sił, ich wybujałość i wzajemna rywalizacja. Epoki przełomowe nie rozwiązują wprawdzie problemów ostatecznie, ale wyczuwają je silnie i mężnie się z niemi zmagają.

Jeszcze niesposób ogarnąć naszych czasów z perspektywy dziejowej, w której giną zjawiska efemeryczne; pozatem choćby liczebny udział współstwarzających i współbudujących naszą epokę pomnaża, jeśli już nie same problemy, to conajmniej wielorakość ich rozwiązań i prób podejścia do nich. Dziś bez przewodnika trudno ogarnąć nawet względnie mały odcinek wiedzy, jakim jest wiedza o literaturze, dziedzina, w której przedewszystkiem nauka niemiecka wiele zdziałała. W Niemczech też najwcześniej odczuwano potrzebę syntetycznego ujęcia świeżego dorobku, chwilowo raczej w celach informacyjnych, niż zmierzając do krytycznych ocen. Prawie równocześnie ogłaszają Rudolf Unger: Moderne Strömungen in der Deutschen Literaturwissenschaft (w „Die Literatur", rocznik XXVI) i Werner Mahrholz: Literarwissenschaft nnd Literargeschichte, 1923. Że praca Mahrholza odpowiada potrzebie dnia, o tem świadczy jej drugi nakład; jego wydawca, profesor frankfurckiego uniwersytetu Schultz, dodając nowy rozdział: „Wskazówki do studjowania nowszej literatury niemieckiej", pragnie widocznie uczynić z tej książki informacyjny podręcznik dla młodzieży akademickiej.

Celom tym służy on dobrze także u nas, gdzie polonistyka zaczyna zwracać uwagę na zagadnienia wiedzy o literaturze i wymaga informatora równie sumiennego jak łatwo zrozumiałego. Nawiasem tylko dodać mogę, że horyzonty wiedzy o literaturze rozszerza znacznie a zarazem zapobiega jednostronnemu jej pojmowaniu „Próba syntezy nowej wiedzy o literaturze" Tadeusza Grabowskiego (Kraków 1933, nakładem autora, odbitka z Przeglądu Powszechnego). Tu bowiem uwzględniono obok dorobku niemieckich i francuskich uczonych także wyniki badaczy rosyjskich, na które Grabowski bodajże pierwszy zwraca należycie uwagę zagranicy, ogłaszając streszczenie swej „Syntezy" w języku niemieckim (w publikacjach Akademji Umiejętności).

Mahrholz posiada wszystkie zalety wymagane od informatora. Fachowo wyszkolony germanista, sięgający zainteresowaniami daleko poza zakres swej właściwej dziedziny, wyczuwa dobrze, co z mnogiej wiedzy o literaturze może mieć znaczenie wpływowe; entuzjazm, bijący z książki, sprawia, że czujemy żywotność udzielonej nam wiedzy; Mahrholz wkońcu, nie zabierając osobiście głosu w samych zagadnieniach wiedzy o literaturze, potrafi względnie rzeczowo ustosunkować się do jej najnowszych tendencyj, referuje o wszystkiem równomiernie, a nie osłabia walorów poszczególnych dzieł przez krytykę, którąby mogła urabiać i uprzedzać sądy czytelnika.

Rozumując, że poszczególne epoki czerpią swe siły z przeciwstawienia się poprzednim a równocześnie są przecież także ich kontynuacją, rozpoczyna Marholz obszerniejszym wstępem o stanie wiedzy o literaturze od XVIII wieku po czasy pozytywizmu włącznie. Mimo poszczególnych trafnych obserwacyj i uwag (np. o znaczeniu VII księgi „Dichtung und Wahrheit" Goethego dla rozwijającej się historji literatury), autorowi dość obca jest istota pozytywizmu. Sylwetka Scherera, którego ocenia jako zamierzchłą wielkość, wymaga uzupełnienia, a raczej zupełnej rewizji w myśl wywodów Rothackera (Einleitung in die Geisteswissenschaften, 1930, str. 207 i n.). Za skąpe są wiadomości o Diltheyu, pionierze współczesnej wiedzy o literaturze, na którego się dziś tak niezmiernie często powoływać wypada. Dilthey powinien był z tytułu swego przewodnictwa stać się punktem wyjścia dla Mahrholza. Lukę w jego wywodach uzupełnia nam treściwy i wyczerpujący artykuł o Diltheyu, pióra Z. Łempickiego (Przegląd Filozoficzny 1914, i odb. str. 64). Przedewszystkiem jednak żałować należy braku uwag o Herderze, który w sposób niesystematyczny stwo-

rzył najszersze podłoże ideowe wiedzy o literaturze, na jakiem rozwijała się ona od swych początków po dzień dzisiejszy. Herder, którego znaczenia dla wiedzy o literaturze dotąd jeszcze nie zbadano wyczerpująco, mógłby odegrać rolę łącznika między poszczególnymi badaczami lub też prądami badań.

Niesposób szczegółowo zanalizować rozdziałów, odnoszących się do współczesnej wiedzy o literaturze. Mahrholz zaczyna od ustalenia pojęć zasadniczych, któremi zwłaszcza młodzież akademicka zwykła szafować i operować bez głębszego zastanawiania się i bez wnikania w ich problematyczną treść. Nie sądzę, aby wszystkie interpretacje Mahrholza były trafne, ale to, co autor mówi o pojęciu literatury, poezji, metody lub klasycyzmu, dostarcza conajmniej substratu do dyskusyj, a przedewszystkiem wypełnia te wyblakłe i zużyte terminy konkretną treścią.

W części, traktującej o głównych kierunkach i reprezentantach współczesnej nauki, wiele trudności nastręczało ich ugrupowanie. Mahrholz obserwował zjawiska z bliskości, skutkiem czego ukazywały mu się one jako samoistne i odrębne, gdy tymczasem są niezawodnie tylko promienistem rozszczepieniem się jakiejś centralnej duchowej siły i ponadosobowej woli, której istotę niełatwo nam jeszcze określić. Może i dobrze, że autor zrezygnował z metafifizycznych dociekań, jakie stosowano przy ustalaniu istoty epok minionych; conajmniej jednak wartało dążyć do tego, by mnogość współczesnych tendencyj ściślej się zespoliła. W ten sposób zarysowałby się nam obraz swoistego organizmu duchowego, w którym pewne tendencje z konieczności zamierają, inne z równą koniecznością się rodzą.

Nowoczesna wiedza o literaturze jeszcze za młoda na to, by w niej silniej mogły się zaznaczyć prądy niż jednostki; dotąd wybitne indywidualności reprezentują naogół także poszczególne kierunki. To też pewne rozdziały dzieła Mahrholza zajmują się przedewszystkiem indywidualnym dorobkiem badaczy, czego wynikiem, silnie występujące personalityczne traktowanie przedmiotu. Niestety nie każda osoba wyróżniona ma szanse stać się pionierem; Wiegand np., rejestrujący problemy, idee, tematy literatury, i ujmujący je systematycznie na wzór botanika Linnégo, jest napewne tylko kontynuatorem pozytywizmu, odrabiającym zaległości w pożyteczny sposób.

Łatwo było uczynić czołowych reprezentantów wiedzy o literaturze: Gundolfa, Nadlera, Ungera, ośrodkiem pewnych tendencyj; trudniejsza natomiast sprawa z postaciami (a także z prądami), występującemi mniej wybitnie, a przecież samodzielnie. Chcąc uniknąć rozdrobnienia skupił je Mahrholz w osobnym rozdziale (szóstym), który, jeśli uwzględnić nawet tylko jego poszczególne części, wywołuje wrażenie sztucznej mozaiki. Pomijam, że np. Walzel, choćby ze względu na stosowanie t. zw. „Wechselseitige Erhellung der Künste", zasłużył na wyodrębnienie i obszerniejsze omówienie. Walzla, Maxa Kocha, Richarda M. Meyera i Fryderyka von der Leyen zbyt mało wiąże ze sobą a zbyt wiele rozdziela, żeby ich można połączyć. Niema też racji, aby poświęcić wspólny rozdział biografom Hauptmanna ze względu na jednoczący ich temat, gdyż nie temat rozstrzyga, lecz sposób pojmowania go i ujmowania.

Dzieło przedwcześnie zmarłego Mahrholza wydał w drugim nakładzie — jak wspomniałem — Franz Schultz, który uzupełnił kilka znaczniejszych luk (m. in. włączył sylwetkę Hettnera), poprawił wcale liczne omyłki rzeczowe i przedstawił w osobnym rozdziale najnowszy dorobek wiedzy o literaturze. Dodatek ten, sumiennie zresztą opracowany, razi o tyle, że dopełnia sumarycznie różne rozdziały książki Mahrholza. Schultz pozatem nie omieszkał wyraźnie zaznaczyć, jak dalece należy się krytycznie odnosić do dzieła, któreby właściwie wypadało nanowo napisać w duchu bardziej współczesnym. Niemniej jednak już sam „namiętny eros i patos" Mahrholza to cenna zaleta, która potrafi rozbudzić zainteresowanie czytelnika wiedzą o literaturze i zachęcić go do łamania się z jej trudnościami.

Germaniście bardzo przydadzą się uwagi, dotyczące studjowania nowszej literatury niemieckiej, podane w formie rzeczowego programu. Trudniej natomiast zgodzić się z dodaną Tablicą chronologiczną, w której konsekwentnie zaznaczono tylko daty pierwodruku dzieł; ważne to dla ustalenia terminu, od którego począwszy mógł się zaznaczyć wpływ danego autora na rozwój i kierunek wiedzy; z niewielkim trudem i małą stratą miejsca mógłby jednak wydawca dodać także rok ewentualnego ostatniego wydania poszczególnych dzieł, coby się zalecało ze względu na informacyjny charakter książki.

Szkoda że Schultz nie wyplenił staranniej omyłek i nieścisłości Mahrholza. Historykowi literatury Vilmarowi nie Karol na imię (str. 12), lecz, jak później podano August, Friedrich, Christian (str. 222). Organ „Towarzystwa Goethego" nazywał się zrazu, od roku 1880, Goethe - Jahrbuch, a dopiero od roku 1914: Jahrbuch der Goethe - Gesellschaft; popełniono podwójną

omyłkę, przytaczając, że „Jahrbuch der Goethe-Gesellschaft" zaczęło ukazywać się od roku 1886 (str. 222). Wśród nowoczesnych krytycznych wydań klasyków pominięto conajmniej wydanie Grillparzera, ukazujące się staraniem miasta Wiednia (str. 224). Bertrama. Nietzsche wyszedł w roku 1918, nie zaś 1920 (str. 225). Nie wypadało umieścić w Tablicy chronologicznej str. (223) dzieła Reichla o Gottschedzie z roku 1901, mającego charakter popularny, skoro Reichel już poprzednio (1900) ogłosił naukowy szkic o Gottschedzie, a później, od roku 1908 począwszy, wydał kilkutomową, monumentalną, a raczej monumentalizującą biografję. Wkońcu Bartelsa „Die deutsche Dichtung der Gegenwart. Die Jüngsten", nie jest bynajmniej „nowem wydaniem" ogłoszonej w roku 1897 „Die deutsche Dichtung der Gegenwart", lecz tylko uzupełnieniem do dziewiątego wydania tego dzieła z roku 1918.

Poznań. *Jan Berger.*

SEJMOWE WYDANIE MICKIEWICZA

ADAMA MICKIEWICZA Dzieła wszystkie. Zebrane i opracowane staraniem Komitetu redakcyjnego. Warszawa, 1933. Nakładem Skarbu Rzeczypospolitej Polskiej. — Tom V. Pisma prozaiczne polskie, część I. 8 m. 472+4 nl. — Tom XI. Przemówienia. Str. 544+4 nl. — Tom XVI. Rozmowy. Str. 560+4 nl.

Dnia 18 grudnia 1920 r. uchwalił Sejm Ustawodawczy na wniosek posła Anusza wydać dzieła Mickiewicza kosztem państwa. Chodziło o zaradzenie fatalnemu brakowi tych dzieł w handlu księgarskim i ewentualnej, z metod księgarskich płynącej, ich drożyźnie. Ówczesny minister oświaty, Rataj, popierając wniosek, oświadczył, że „ministerstwo dostarczy tych dzieł czytelnikowi po cenie kosztu". (Zob. Monitor Polski z dn. 22. XII. 1920, № 290). Ironja losu chciała, że w wykonaniu wypadły te piękne projekty nieco inaczej. Wydanie odwlokło się wprawdzie o lat kilkanaście, ale przez ten czas odstraszało wszelkie pomysły wydawnicze groźbą ukazania się lada chwila bezkonkurencyjnie taniego wydawnictwa rządowego, zwracano się więc jedynie do sterotypowych przedruków i niemi zapełniano rynek. Taniość okazała się równie zwodniczą: oprawny egzemplarz (a któż kupuje klasycznych poetów w broszurze?) „wydania sejmowego" kosztować będzie przeszło 160 złotych, a więc miesięczną pensję wcale nie najniższego urzędnika. Czyżby to było „po cenie kosztu?" I dla kogo przeznaczone jest to wydawnictwo w głodnej Polsce?

Zaczęto je w lat trzynaście po uchwale nie od części zasadniczej, od poezyj, które zawsze jeszcze interesują ogół i mogą wzbudzić zaciekawienie nowemi komentarzami lub odmianami tekstu, ale od dodatków, dostępnych jedynie dla małego grona badaczy, a w olbrzymiej większości od dawna już ogłoszonych. Gdyby rozpoczęto wydawnictwo od tomów pierwszych, znalazłoby z pewnością — pomimo wszystko — jaką taką ilość nabywców, którzy następnie musieliby już kompletować swój nabytek; obrana przez Komitet redakcyjny droga jest stanowczo zamało kupiecka. Ale idźmy nią i my i zacznijmy omówienie tomów wydanych — od końca,

XVI tom, ogromny, imponujący już samym ciężarem, zawiera „Rozmowy z Adamem Mickiewiczem". Są tu z rzadką u nas pracowitością zebrane ustępy z pamiętników, listów, rękopisów lub dzieł drukowanych, zawierające przytoczone lub streszczone powiedzenia Mickiewicza, nieogłoszone przez niego drukiem. Jest to niewątpliwie objaw pietyzmu dla poety, a byłby skarbem dla badaczy jego życia i twórczości, gdyby w zupełną bezstronność zbierającego, prof. St. Pigonia, można było bezwzględnie wierzyć. Niestety, wstęp do „Pana Tadeusza", przed laty kilku ogłoszonego w Krakowskiej Spółce Wyd., świadczy wymownie, że prof. Pigoń hołduje nie bezwzględnej, ale mocno przykrojonej prawdzie mickiewiczowskiej, a to osłabia zaufanie. Ale choćby zbiór ten był arcydziełem pod względem bezstronności — jakim sposobem znalazł się on w wydaniu „Dzieł" Mickiewicza? Czy można te ustępy i zdania, pisane zwykle w kilka lub kilkanaście lat po rozmowie z poetą, uważać za tekst, przez niego ustalony, obmyślony, taki, pod którymby się sam chętnie podpisał? On, który nie uznawał autentyczności swoich wykładów paryskich spisywanych z największym pietyzmem! I nic dziwnego — pomiędzy słowem wielkiego artysty a jego streszczeniem leży cała przepaść. Niemcy, którzy mają cudowne rozmowy Eckermanna z Goethem, spisywane jeszcze „na gorąco", rozumieją tę przepaść wybornie i żadnemu ich wydawcy nie przyszło nawet do głowy umieszczenie ich wśród dzieł autora „Fausta". Ale może cytaty, zebrane przez prof. Pigonia, mają jakieś wyjątkowe walory, które je do tego uprawniają? Posłuchajmy, co mówi o tem prof. Pigoń (str. 14): „Mickiewicz jest sprawcą materyj, zawartych w tym tomie, ale

nie jest jego autorem; a więc tylko z bardzo daleko idącemi zastrzeżeniami można tom niniejszy poczytać za część składową „Dzieł“ Mickiewicza“. Dlaczegóż zatem wcielono ten zbiór do nich, i to do tak dostojnego, powagą państwa polskiego obarczonego ich wydania? Czemu przynajmniej — jeżeli ogółem było to już konieczne (?) — nie wcielono tego tomu do zapowiedzianych „dodatków“? Jest to zagadka, wobec powagi nazwisk, wchodzących w skład komitetu redakcyjnego, niemożliwa do rozwiązania.

Tom XI jest znowu pracą prof. Pigonia i obejmuje „Przemówienia“. Tytuł wprowadza jednak w błąd: czytelnik sądzi, że są tu zawarte wszystkie przemówienia Mickiewicza, tymczasem objęto tym tomem jedynie te, które wygłosił po r. 1841 — poprzednie włączono w tom V-ty, pomiędzy pisma filomatyczne. Zresztą są w tym zbiorze bynajmniej nie same tylko przemówienia — jest tu wiele notatek z rozmów („Rozmowa z S. Goszczyńskim“), nawet „Notaty rozmów z Towiańskim“, a zatem dotyczące nie Mickiewicza, lecz „Sprawy Bożej“, są ulotne odezwy, jest „Przemówienie S. Goszczyńskiego“, pododno zawierające myśli Mickiewicza i t. d. — słowem zbiór materjałów najrozmaitszego rodzaju, odnoszących się do spraw towiańszczyzny, a tytuł głosi, że to są „Przemówienia Mickiewicza“. Co gorsza, we wstępie do tomu XI-go nie ostrzeżono czytelnika ani jednem słowem, że najpiękniejszych przemówień mickiewiczowskich ma szukać gdzieindziej i pozwolono mu ufać nieprawdomównemu tytułowi.

Opracowanie „Przemówień“ jest wzorowe — to mało: jest godne podziwu. Wielka ilość zebranego materjału, świetne opanowanie go i wyjaśnienie zarówno w obszernej rozprawie, stanowiącej wstęp (str. 7—120), jak i w wyczerpujących przypiskach, wszystko to usprawiedliwia zupełnie pełne słusznej dumy słowa wydawcy: „Tom niniejszy ...jest niemal nowością; odkrywa sferę tudzież szczegóły i owoce działania prawie nieznane w dotychczasowym wizerunku ducha poety, w każdym zaś razie nieznane w takiej rozciągłości i głębi, jaka się teraz dopiero tam odsłania“. Na postać Mickiewicza - działacza pada z tego tomu istotnie duża smuga światła.

Nasuwają się tu jednak zastrzeżenia natury techniczno-wydawniczej. Zbiór, objęty tomem XI-ym, składa się z materjałów najrozmaitszych, których podstawą są albo autografy poety (bardzo niewiele), albo też streszczenia i relacje słuchaczy, i to bardzo niejednolitej wartości. O notatkach Goszczyńskiego, stanowiących większość materjału, pisze dr. Lewak, który sporządzał z nich kopje: „Przemówienia Mickiewicza... notował Goszczyński bezpośrednio, w czasie zebrania, albo, i to częściej, po zebraniu... Rękopisy nie dają żadnej wskazówki, które notatki powstały w czasie przemówienia, a które później. Nie mniej trudno rozdzielić słowa Mickiewicza od myśli Goszczyńskiego, powstałych pod wpływem słów Mickiewicza i idej, które żyły w Kole...“ To może dać pojęcie, jak różnoraki jest materjał i jak prawowierność jego mickiewiczowska chwieje się od niewątpliwych, co do każdego słowa autentycznych tekstów autografów do... „idej, które krążyły w Kole“ i z Mickiewiczem mogły nie mieć nic wspólnego. Otóż zachodzi pytanie, jak wydawcy uwydatniają nazewnątrz te różnice. Zdawałoby się, że jest tylko jeden na to sposób: teksty autentyczne odróżnia się wielkiemi czcionkami, inne podaje się osobno drukiem mniejszym. Tymczasem wydawcy załatwili to zupełnie inaczej: wszystkie streszczenia drukowane są tak samo, jak teksty oryginalne, bez żadnej różnicy. Odszukanie w drobniutkim druczku objaśnień istotnych, autentycznych przemówień Mickiewicza jest w tym tomie „Dzieł“ Mickiewicza, obejmującym „Przemówienia“, nieladajaką pracą.

Ostatni z trzech ogłoszonych dotychczas tomów, V-y, obejmuje część pierwszą „Pism prozaicznych polskich“. Są to „Pisma i przemówienia filomatyczne“ (opracował prof. Łucki), „Pisma estetyczno-krytyczne“ (opr. prof. Życzyński), „Opowiadania“ (opr. prof. Pigoń — wstępy tegoż i prof. J. M. Rozwadowskiego), wreszcie „Dodatek“ zawierający to, co nie mieściło się w rozdziałach poprzednich, między innemi „Pisma, przypisywane Mickiewiczowi“, wszystko opatrzone czterema wstępami prof. Pigonia. Na tem różnorodnem tle występuje jaskrawo niejasny poprzednio charakter wydawnictwa.

Cechę naukowości lub popularności nadaje wydaniu przedewszystkiem stosunek odtwarzanego tekstu do źródeł; w wydaniu naukowem objaśnienia w formie wstępów czy przypisów odgrywają rolę drugorzędną i zasadniczo są zbędne, natomiast odtworzony tekst powinien badaczowi w zupełności zastąpić źródła. Stąd pochodzi prawie niemożliwa do uniknięcia konieczność warjantów, które w wydaniu popularnem są zupełnie zbyteczne. Jaką zatem drogą poszedł Komitet redakcyjny „Dzieł wszystkich“? Naukową czy popularną?

Oto ani jedną, ani drugą, ale jakąś pośrednią ścieżką. Działu „warjantów“ nie stworzono, ale nie wyrzeczono się ich zupełnie; raz po raz umieszczono wśród objaśnień notatkę, że w autografie znajduje

się w danem miejscu jakieś przekreślone zdanie, opuszczając często właśnie ważniejsze, i sądzono widocznie, że osiągnięto złoty, wszystkich zadawalający środek. Ale oprócz poszczególnych zdań przekreślonych zdarzają się w autografach całe ustępy innej redakcji — i tak właśnie zdarzyło się z rozprawą „O krytykach i recenzentach warszawskich", której dwie odmienne redakcje przechował autograf Ossolineum. Wśród objaśnień się nie zmieszczą — cóż więc uczynić? Całkiem poprostu: uczyniono z tego materjału osobny artykuł, w nim wydrukowano tekst dłuższy, krótszą zaś odmianę podał w osobnym wstępie prof. Pigoń w wyjątkach. Jest to najprawdopodobniej unikat w zakresie sztuki wydawniczej.

Rzecz interesująca: czy to jest system, przyjęty w całem dziele i czy np. fragmenty autografów „Grażyny" lub „Wallenroda" także ukażą się w osobnych artykułach, z wstępami?

Zrezygnowawszy z dokładnego odtworzenia tekstów, nie zapomniano jednak na utrapienie czytelników jak najdokładniej informować ich o tem, gdzie poeta w pospiechu nie zdążył napisać całego słowa, wiedząc, że koledzy ten skrót wybornie zrozumieją — takie uzupełnienia drukuje się w ostrych, graniastych nawiasach. Czyta się więc np. na str. 45: „Lecz zwróćmy oko na Tow[arzystwa] bliżej nas obchodzące, na Tow[arzystwa] jednego prawie celu, to jest na Tow[arzystwa] uczone" i t. d. Biedny Mickiewicz! Każdy skrót słowa, każde opuszczenie w pośpiechu litery jakiejś będzie mu to jedyne wydanie, dokonane z funduszów całego narodu, wypominało do końca świata, a czytelnik będzie klął jego nieuwagę, narażającą (po tylu latach!) wzrok na pokonywanie takich nawiasowych zasieków! A jak łatwo można było uniknąć tych okropności: wystarczyłoby jedno zdanie wyjaśniające w przedmowie!

Pietyzm jest uczuciem bardzo pięknem a w stosunku do Mickiewicza u jego wydawców koniecznem — ale i w nim powinno się zachować pewną miarę. Kiedy z 11-u wierszy zanotowanej przez poetę w Paryżu piosenki litewskiej, i to z błędami, robi się osobny rozdział tomu, albo gdy do naiwnych ćwiczeń etymologicznych, które wywołały potem osławiony już wywód znaczenia słowa „Nebukadonozar", dodaje się aż dwa wstępy i znakomitego uczonego, prezesa P. Akademji Um., zmusza się do określenia, że są tam także „przypadkowo trafne zestawienia" — to jest to niewątpliwie przekroczeniem tej granicy. Darmo, nic nie pomoże na to, że naukowego działu o tej wartości, jaką posiada spuścizna naukowa Goethego, u Mickiewicza niema zupełnie. Dlatego lepiejby było dla jego pamięci, gdyby te małowartościowe utworki ukryto w jakimś zakątku wydania przed zbytniem zainteresowaniem czytelników. Ta przesada w gromadzeniu głośnych nazwisk — widoczna także w czczej, z kilku anegdot złożonej przedmowie Władysława Mickiewicza do wstępu prof. Pigonia w tomie XVI — bynajmniej nie dodaje wydawnictwu powagi.

Spośród pism, przypisywanych Mickiewiczowi, usunięto „Karylę". Dlaczego? Argumenty przytacza prof. Pigoń dwa: powiastka ta jest przeróbką noweli z „Dekamerona", a następnie „głucho o niej w protokułach filomackich, choć o wszystkich innych utworach Mickiewicza z tego czasu zachowały się tam świadectwa wyraźne". Drugi argument jest nieścisły, bo np. o „Świteziance" i „Rybce" jest w nich także głucho — a pierwszy przemawia raczej za autentycznością „Karyli". Wszakże pokazało się już, że pierwsze opowiadania, np. „Mieszko" i „Aniela", są przeróbkami takiemi samemi, jak „Karyla", więc ona staje z niemi w jednym szeregu, a nie stanowi wyjątku. Zresztą umieszczenie tej powiastki nie ubliżałoby przekonaniom prof. Pigonia, byłoby zaś oznaką choćby uprzejmości dla takich badaczy jak R. Pilat, Tretiak i Bruchnalski, którzy uważali „Karylę" za dzieło Mickiewicza, czytelnik zaś miałby sposobność wyrobić sobie o tej sprawie zdanie. Tak postąpił np. Czubek, umieszczając „Małgorzatę z Zębocina" wśród utworów Krasińskiego, chociaż w jej autentyczność (zupełnie słusznie) nie wierzył. A prof. Bruchnalski należy podobno do Komitetu redakcyjnego „Dzieł".

Forma zewnętrzna przyniosła rozczarowanie. Fundusze, jakiemi Komitet rozporządzał, zachęcały do stworzenia książki nowej, jeżeli nie zupełnie oryginalnej, to przynajmniej wytwornej, poręcznej, lekkiej (bo czemubyśmy nie mieli produkować papieru lekkiego?), choćby takiej, jaką „Insel-Verlag" dał w wydaniu Goethego Niemcom, lub w jaką dzieła Byrona zamknął tuż przed wojną wydawca londyński Murray, stwarzając istne cacko. Tymczasem cofnięto się o lat pięćdziesiąt i wybrano format pomnikowego wydania dzieł Kochanowskiego, format bardzo dostojny, ale nie przeznaczony „do czytania". Mickiewicz zaś jest jeszcze poetą żywym i nie powinno się go skazywać tylko na ozdobę bibljotek. Z chwilą, kiedy Komitet zdecydował się dać wydaniu charakter nie naukowy, lecz popularny, forma ta stała się najbardziej nieodpowiednią, sprzeczną z przeznaczeniem. Całe wydanie Goethego, ogłoszone przez „Insel-Verlag" (sześć ob-

szernych tomów), waży wraz z oprawą półskórkową tyle, co dwa broszurowane tomy „sejmowego" Mickiewicza, no, i jest czterokrotnie tańsze.

Korekta jest bez zarzutu a druk czysty, ale w układzie kolumn widać często brzydkie niedbalstwo: przypisy znajdują się bardzo często nie na tej samej stronie, co odsyłacz, ale o stronę, a nawet dopiero o dwie stronice dalej. Zakrawa to już na zupełny skandal, zwłaszcza w dziele, wydanem „nakładem Skarbu Rzeczypospolitej Polskiej".

Lwów. *Tadeusz Pini*

IRONJA SŁOWACKIEGO

REICHER - THONOWA GIZELA. Ironja Juljusza Słowackiego w świetle badań estetyczno-porównawczych. Polska Akademja Umiejętności. Rozprawy wydziału filolologicznego t. LXIII, nr. 4. Kraków 1933, str. 24.

Ironja stanowiła w dobie romantyzmu zjawisko bardzo charakterystyczne. Ironiczny uśmiech wobec świata, ludzkości, a nawet samego siebie uchodził za świadectwo wyższości, dojrzałości psychicznej. Termin „ironja" nasuwa się często pod pióro, gdy mowa o poetach romantycznych. Toteż studjum p. Reicher-Thonowej posiada znaczenie zarówno ze względu na Słowackiego, jak i na jego epokę. Co prawda, autorka niedostatecznie wykorzystała lekturę estetyczną i w książce swej uwzględniła element porównawczy na niewielką skalę, choć narzucało się zestawienie twórcy „Beniowskiego" nietylko z Szekspirem i Byronem, lecz i z innymi, współczesnymi mu poetami, że wymienimy choćby Puszkina i Lermontowa. Jednak gruntowne zaznajomienie się z ironją choćby na przykładzie twórczości jednego poety musi się okazać użyteczne dla wczucia się w nastroje całego pokolenia.

Książka p. Reicher-Thonowej została zbudowana bardzo starannie, nawet zbyt starannie: na początku autorka omawia założenia metodyczne rozprawy i tłumaczy jej układ, a następnie, stosownie do wytycznych, dzieli swe rozważania na trzy odrębne części, z których każda stanowi jakby niezależną całość. Ten schematyzm wywiera niemiłe wrażenie „szkolnej" roboty. Żebra kompozycji rzucają się w oczy niby belki w budowli. Należałoby sobie życzyć, by w układzie rozprawy naukowej znajdowały zastosowanie kryterja estetyczne, uwzględniane w innych dziedzinach twórczości. Robota przygotowawcza, rusztowanie nie interesuje widza; ważne jest to, aby ostateczny wynik pracy miał postać wykończoną, spoistą i harmonijną.

Pierwsza część rozprawy, zgodnie z konwencjonalnemi schematami dla tego rodzaju prac, zajmuje się określeniem ironji. Autorka dostrzega w niej sześć czynników: 1. świadomość ujemnych cech przedmiotu, 2. chęć uwydatnienia tych cech, 3. potrzebę ujawnienia ich nie w formie bezpośrednio krytykującej, lecz właśnie ironicznej, 4. poczucie kontrastu między rzeczywistością, a sposobem wypowiedzi, skąd ma wyniknąć, 5. poczucie śmieszności, jako wynik tego przeciwieństwa; wreszcie 6. ironista posiada świadomość przyszłego triumfu nad przedstawionym przedmiotem. Takie ujęcie ironji, jako nastroju psychicznego, budzi pewne zastrzeżenia. Najpierw stosunek do przedmiotu niekoniecznie musi być krytyczny. Znamy ironję pochlebną, której podłożem jest podziw, zachwyt, uwielbienie i która zmierza do jak najpełniejszego uwydatnienia cech dodatnich przez określanie ich zapomocą wyrażeń ujemnych. Coprawda, ten rodzaj ironji jest rzadszy i posiada mniejszą wartość estetyczną, stąd też ma na terenie sztuki zastosowanie niewielkie, jednak nie należało go pomijać przy tworzeniu definicji, by nie narazić się na zarzut nieścisłości. Dalej trudno zgodzić się z twierdzeniem, że ironji towarzyszy poczucie śmieszności (punkt 5). Przy silnem natężeniu nastroju ironicznego śmieszność właściwie zanika. O przykłady nietrudno. Nikt nie zaprzeczy, że „Grób Agamemnona" jest utworem ironicznym i sama autorka cytuje go gęsto w swojej rozprawie; a jednak sumienna introspekcja mówi, że wiersz ten nas zupełnie nie śmieszy. Kontrast ironiczny różni się wyraźnie od kontrastu komicznego i nie należy ich ze sobą mieszać. Zanalizowanie dokładniejsze tej kwestji mogłoby się przyczynić do lepszego zrozumienia zjawiska ironji. Co innego, że ironja łączy się dość często z komizmem i humorem, ale właśnie dlatego należało przeprowadzić linję demarkacyjną, aby uniknąć niebezpieczeństwa pomieszania pojęć. Autorka wyraźnej granicy nie nakreśliła i w rezultacie podczas czytania rozprawy nieraz mamy wątpliwość, czy niektórych ustępów nie należałoby przenieść raczej do studjum o komizmie lub humorze. Cenne wskazówki możnaby znaleźć choćby w cytowanem przez autorkę dziele J. Volkelta „System der Aesthetik". Wprowadza on rozróżnienie, którego nie znajdujemy w rozważaniach p. Reicher-Thonowej: „Das komische Umschlagen, das die Ironie ausmacht, vollzieht sich innerhalb der Wertbezeichnung, die

der Darstellende einer Sache gibt (tom II, str. 520). Warto było również zestawić ironję z dowcipem. W dowcipie początkowo myśl wydaje się pozbawiona związku z rzeczą, która ma być zdemaskowana. W ironji mamy odrazu do czynienia z opisem rzeczy zwalczanej. Dowcip ma większą swobodę, której ironja jest pozbawiona. Dowcip ogarnąć może wszystkie dziedziny życia, ironja waha się między pochwałą i naganą. Te i tym podobne zestawienia świadczą o poważnych trudnościach przy określaniu ironji. Nie należało może piętrzących się przeszkód przeskakiwać bez podjęcia środków ostrożności.

Ironja może oznaczać nietylko nastawienie psychiczne, lecz i wynik tego nastawienia. Częstsze w użyciu jest znaczenie drugie, zgodnie z którem ironja polega na określaniu myśli i uczuć słowami, które wyrażają myśl pozornie sprzeczną, w taki jednak sposób, by można było odgadnąć właściwe intencje osoby mówiącej. Stąd wynika, że z ironją łączy się pewna technika wypowiedzi. Dla zrozumienia indywidualności twórczej ma oczywiście znaczenie definicja ironji, jako nastroju.

Nie zadawalając się określeniem prowizorycznem, autorka przytacza sądy szeregu uczonych o ironji i nakońcu w uwagach syntetycznych ujmuje te wszystkie opinje w jedną całość. Jest rzeczą jasną, że o ile definicja początkowa była zbyt wąska, o tyle synteza musiała doprowadzić do ujęcia zbyt szerokiego. Ironja urosła na niesamowitą potęgę: w niej stapiają się wszelkie przeciwieństwa (jak w humorze?), ona pozwala twórcy wznieść się ponad świat, jest formułą, która spaja twórcze „ja" z rzeczywistością; dzięki niej artysta staje się zwierciadłem wszechświata, daje obraz życia i charakterów i t. d. (Szkoda, że autorce nie udało się ustrzec mgiełki metafizycznej). Bądźcobądź, rozbiór sądów kilkunastu autorów o ironji, świadczący o dużej pracy i sumienności autorki, może się stać na naszym gruncie zaczynem badań nad tem ciekawem zjawiskiem estetycznem.

Na początku czytamy, że „zagadnienie ironji jako elementu psychicznego jest zagadnieniem naczelnem rozprawy i stanowi przedmiot rozważań drugiej jej części" (str. 1). Jak widać, p. Reicher - Thonowa największą uwagę przywiązywała do analizy psychologicznej poezyj Słowackiego. Wyniki nie odpowiadają jej intencjom. Zdaniem naszem, obraz ewolucji nastrojów ironicznych Słowackiego wypadł dość blado i nie spełnił tych oczekiwań, jakie mogły wzbudzić definicje części pierwszej. Omówienie w chronologicznym porządku ustępów ironicznych w utworach poety przyniosło niewiele rzeczy naprawdę nowych. Przytem nie należało stanowczo posługiwać się na tak szeroką skalę cytatami. Trzeba było liczyć się z tem, że np. gdy mowa o „Beniowskim", wystarczy powołanie się na odpowiednie ustępy; wypełnianie całych stron dobrze znanemi wierszami, niemal bez komentarza, nie było celowe z punktu widzenia tematu pracy. Dodać należy, że i pod względem stylistycznym druga część pracy przedstawia się najsłabiej (razi nadużywanienie przysłówka „tu"); widocznie przy jej pisaniu autorka nie czuła się w swoim żywiole.

W niektórych wypadkach sposób ujęcia przedmiotu razi niezręcznością. Mówiąc o chłopięcej przyjaźni Słowackiego, autorka pisze: „Obaj pisali wiersze, szukali poezji w życiu, błądzili samotni wśród pól, aż Spitznagel, oddający się studjom filozoficznym, popadł w pesymizm, który udzielić się mógł delikatnemu przyjacielowi" (str. 38). Czy uproszczenia psychologiczne nie zostały w tym ustępie posunięte zbyt daleko? „Arab" nazwany został utworem „najmniej sympatycznym z punktu widzenia etycznego" (str. 41). Wskażemy jeszcze dla przykładu na uwagę o samoironji (str. 46), określenie aktu III „Kordjana (str. 52), wzmiankę o charakterze autobiograficznym „Kordjana" (str. 54), niezręczne porównanie Doktora z Masynissą i Mefistofelesem (str. 55), nazwanie Filona „typem eterycznego sentymentalisty" (str. 59), ogólniki na temat „Grobu Agamemnona (str. 72). Brak dyscypliny stylistycznej w porównaniu z częściami I i III jest wyraźny. O Mickiewiczu mówi autorka, że dał narodowi wszystko, czego pragnął „i zdobył sobie uznanie u niego — pełne i bezwzględne" (str. 79). Skądże brały się głosy sprzeciwu przeciwko Mickiewiczowi na emigracji? Dlaczego Jabłonowski nazwał „Beniowskiego" poematem bardziej narodowym od „Pana Tadeusza"? Co skłaniało autorkę do wyprowadzania takich i tym podobnych niebezpiecznych uogólnień, kłócących się z wymaganiem ścisłości naukowej? Rozdział, poświęcony walce z z twórcą „Pana Tadeusza", nosi tytuł: Afirmatywny charakter ironji w walce z z Mickiewiczem. Mimo podkreślenia cechy afirmatywności w postawie poetyckiej Słowackiego autorka, powołując się na cytatę: „Ja go (naród) powiodę, gdzie Bóg— w bezmiar, wszędzie", twierdzi, że poeta nie określa swej drogi. Kwestja ta była wyjaśniana na łamach „Ruchu Literackiego" w recenzji książki dr. Bychowskiego „Słowacki i jego dusza" (wrzesień 1931 r.).

Korekta grzeszy niedokładnością: na str. 99 znajdujemy cytatę z „Beniowskiego",

urwaną w miejscu jak najmniej właściwem, choć cyfry w nawiasach są poprawne.

Syntezę wartości ironicznych Słowackiego można było zbudować w sposób bardziej ekonomiczny. Najważniejszym może wnioskiem pracy jest stwierdzenie, że poeta „doszedł poprzez kosmopolityczną koncepcję ironji romantycznej jako bezwględnej wyższości artysty, która pozwala mu igrać ze światem, do narodowej koncepcji Króla Ducha, który miał naród ku wyzwoleniu prowadzić" (str. 139), że przestał być satyrykiem błędów narodowych, aby objąć stanowisko wodza duchowego. Uwydatnienie tej ewolucji — to moment pozytywny rozprawy.

Ostatnia część — porównawcza — przedstawia się najkorzystniej. Rozpatruje ona dwa typy ironji: objektywną, reprezentowaną przez Szekspira, i subjektywną, której wzór dał Byron. Pierwsza objawia się głównie w ciętym stylu ironicznym i swoistej budowie dramatu (ironja losu); druga natomiast znajduje wyraz bezpośredni w dygresjach. W poezji Słowackiego skrzyżowały się oba typy ironji. Śledzenie tych dwóch czynników twórczości poety, ich wymienności i krzyżowania się doprowadziło do ciekawych wyników. Zarówno Szekspir, jak i Byron zostali scharakteryzowani trafnie i żywo. Strona techniczna ironji znalazła w omawianym rozdziale oświetlenie zupełnie zadawalające.

Mimo braków książka o ironji Słowackiego jest w sumie pożyteczna. Pomnaża naszą szczupłą literaturę estetyczną (do której należy dzięki części pierwszej) oraz wzbogaca wiedzę o technice poetyckiej. A choć indywidualność autora „Beniowskiego" nie została wzbogacona jakiemiś naprawdę nowemi spostrzeżeniami, jednak skupienie dokoła jednego zagadnienia rozproszonych sądów uplastyczniło pewne rysy wizerunku duchowego poety.

Warszawa. *Mieczysław Giergielewicz.*

PAMIĘCI CYPRJANA NORWIDA. Droga № 11. Warszawa, 1933, str. 225.

Na czele tego pokaźnego zeszytu znajdujemy dwa listy Norwida do M. Dziekońskiej z przypisami Z. Przesmyckiego, oraz „komedję" p. t. Miłość czysta u kąpieli morskich (z l. 1877—8, jak sądzi tenże wydawca).

Resztę zeszytu wypełniają utwory 17 autorów, w tem trzy wiersze (najcelniejszy: „Do poety" S. R. Dobrowolskiego).

Na czoło artykułów literackich bezkonkurencyjnie wybija się świetna praca S. Kołaczkowskiego: Ironja Norwida. Do jej mianownika, zaznaczywszy olbrzymią skalę jej zasiągu i rozmaitość odcieni, próbuje autor ściągnąć poezję Norwida, uwydatniając antiromantyczną jego postawę (str. 66, 69, 85) [1], oraz stwierdzając u poety wielkie poczucie rzeczywistości, określa prof. K. jego problem życiowy, jako walkę z rzeczywistością w imię prawdy (str. 61, 68), powtarzając tę definicję za Miriamem (przyp. do t. A Pism C. N. str. 858). Dalej spotykamy tu omówienie formy paradoksu, którym tak chętnie posługuje się poeta (str. 61), jego parabolizm (62, 73), ambiwalencję (76), przedziwny, rzetelnie chrześcijański objektywizm (63, 73, 77, 87) oraz wyrozumiałość, zadatek humoru (63, 86). Na końcu (90—91) znajdujemy zagadnienie aktualności Norwida.

Niesłusznie jednak, jak się zdaje, autor stosuje do filozofji Norwida termin tradycjonalizmu (65), acz słowa tego użyłem swego czasu sam (za Bereżyńskim). Podobnież na str. 82 zwrot „historji już niema" może być użyty li tylko ironicznie.

Gdy od artykułu Kołaczkowskiego przechodzimy do prac pozostałych, uderza nas odrazu niebywały chaos stanowisk poznawczych oraz sądów, co pokazuje nam jak na dłoni, jak dalecy jeszcze jesteśmy od należytego rozumienia Norwida. Nieledwie niema takiego twierdzenia, któreby w innym, a czasem w tym samym artykule, nie uległo zaprzeczeniu.

Aby nie być gołosłownym, przytoczę kilka przykładów:

Na str. 210—215 rozsnuwa T. Makowiecki swój zajmujący artykuł o N. jako poecie ruin, zaznaczając, że „tytuł ten i przydomek należą się N-wi w pełnym stopniu", gdy przeciwnie na str. 137 W. Horzyca tak pisze: „Nazwano N-a poetą ruin. Nie, poeta przypomina raczej wspaniałe budowle i t. d... Taką kamienną (?) epopeą wydaje się być Norwid".

Na str. 221 M. Giergielewicz twierdzi, iż „tragizm — to jeden z podstawowych rysów natury poetyckiej N-a". Aliści na str. 82 i 85 Kołaczkowski dowodzi, iż „N., jako katolik, nie mógł mieć tragicznego poglądu na świat".

Prof. M. Kridl, najwybitniejszy bodaj u nas wyznawca wyłączności estetyzmu w badaniach literackich („jedyna droga, jaka pozostawiona jest poezji — to droga wzruszeń i przeżyć estetycznych" str. 202), stoi i wobec Norwida, omawiając jego liryki, na stanowisku smakosza spożywcy, przypominając znaną formułę J. G. Pawlikowskiego: „Zrozumieć — aby używać" („Mistyka Słowackiego", str. 545). To

[1] W numeracji stronic oznaczam liczbą 1 str. 935 całego tomu, zaś liczbą 225 str. ostatnią, 1159-ą.

też nie docenia on innych wartości, które tkwią w poezji Norwida i zapomina o słowach tegoż Croce'go, na którego się sam skądinąd powołuje, że jest przecież t. zw. poezja prozaiczna, mająca powabną formę, acz ta jest tylko środkiem do celów poza artystycznych [1]. Uprawia też prof. K. kult „całości" i „skończoności" (203), nie uznając bodaj wymowy baroku i jego dzieł — jakże często! — fragmentarycznych i szkicowanych, gdzie właśnie najlepiej występują intencje artysty, zmuszającego w ten sposób widza, słuchacza, czytelnika do współpracy i współtwórczości (porównaj odpowiednią partję w „Promethidionie").

Wręcz odmienne stanowisko zajmuje Kołaczkowski, który obok walorów estetycznych każe w poezji doszukiwać się wartości par excellence poetyckich, potępiając tak tezę „o nieistotności osobowości poety", jako też „negowanie — wbrew faktom — istnienia w poezji czynnika intuicyjnie poznawczego", który czasem „odegrywa wręcz dominującą rolę" (59 — 60). Także stwierdzając barokowy charakter poezji Norwida (74), podkreśla on konieczność współpracy z artystą i odrzuca bierny doń stosunek (61 i 64); tak oto np. formułuje wartości wychowawcze poezji Norwida: „Nie znam pisarza, któryby u nas lepiej od Norwida wychowywał ludzi do dojrzałości dziejowej, któryby głębiej i szczytniej pojmował zadania człowieka, jako twórcy historji" (90).

Najlepiej bodaj odmienność stanowisk tych dwu profesorów występuje przy analizie wiersza Norwida „Święty Pokój". Jeden (Kridl) widzi tu „tęsknotę do nowego świata, wytężenie duszy ku słońcu, harmonji i „świtom miru" (208); zato drugi, w mocnem oparciu o całokształt ideologji Norwida, dostrzega tu jedynie ironiczne stwierdzenie „polskiego krótkiego tchu bohaterskiego", oraz „uśmiech melancholji, jaki ma mędrzec dla dzieci" (81 i 87). Czyż data powstania wiersza (1863) i znajomość ustosunkowania się poety do powstania nie oświecą nas wyraźnie, który z dwu uczonych ma tu rację?

Podobnież Makowiecki, wbrew Kridlowi, broni racji bytu i uroku fragmentów, owych „ruin", tak charakterystycznych dla twórczości Norwida [2].

Dalej, zupełnie nieorjentujący się w twórczości Norwida, Kaz. Kosiński wmawia nam, że poeta „zagadnienie pracy oparł o walkę zbrojną narodu o niepodległość, w czem skupiały się wszystkie jego zagadnienia" (43), gdy Kołaczkowski podnosi notorycznie znany fakt, że Norwid był zdecydowanym przeciwnikiem powstań (89).

Inny autor, R. Kołoniecki sądzi, że „liryzm Norwida jest gwałtownym wylewem emocjonalnym" (110), gdy, jakeśmy widzieli, Kołaczkowski kładzie nacisk na nawskroś intelektualistyczny charakter całej twórczości Norwida (61), co przyznaje także Kridl (203).

Wedle Kołaczkowskiego „tendencje pisarskie Norwida idą w kierunku wyraźnym" (70), gdy Kołoniecki sądzi, iż „puścizna Norwida przedstawia skarbnicę tak nieprzebraną, że każdy poeta w swój własny sposób może do niej nawiązać" (113).

Chyba dość przytoczyłem przykładów, by czytelnik mógł się zgodzić z tezą, że, poza Kołaczkowskim, którego wywody, oparte o doskonałą znajomość poety, są naogół przekonywające, pozostali autorowie jeno cząstkowemi spostrzeżeniami wzbogacają naszą wiedzę o Norwidzie.

Na osobną uwagę zasługuje studjum Horzycy, który bodaj nieświadomie wstępując w ślady „Literatury" Rycharskiego (Kraków 1868) i mego szkicu o „Romantyzmie i mesjanizmie" (Wilno, 1914), stara się poddać rewizji nasze pojęcia o romantyzmie, podkreślając w pewnych jego przejawach na gruncie polskim tendencje do realizmu. Idąc tą drogą próbuje nawiązać bezpośrednio Norwida do „P. Tadeusza" oraz do... Towiańskiego. Błąd wywodów Horzycy polega, mojem zdaniem, na zlekceważeniu przezeń konieczności utrzymania ogólnej terminologji zjawisk i kierunków kulturalnych, wspólnych dla całej Europy. Prawdą jest natomiast, że u nas pod ogólną etykietą romantyzmu ukrywają się wartości czasem wręcz sobie przeciwne i że stąd rzeczywiście potrzebna jest rewizja tych pojęć.

W. Arcimowicz całkiem mylnie pragnie widzieć jakiś przełom w świecie pojęć Norwida, który się rzekomo dokonał w więzieniu w Berlinie w r. 1846. Fakt, iż dopiero potem poeta ujawnił swe poglądy społeczne i polityczne, bynajmniej nie dowodzi, że poeta przedtem był jeno jałowym „Gustawem" (148), aspołecznym i apolitycznym. Oczywiście, niema też dowodów pozytywnych, przeciwko tezie dr. A., prócz może krótkiej wzmianki na str. przedostatniej „Prerekcyj o Słowackim", ale okoliczność, że do Warszawy (!) śle on z zagranicy jeno utwory „neutralne", nie może być wszak argumentem za

[1] M. Mann — B. Croce, w Pracach T-wa Nauk. Warsz. 1930, str. 4k.

[2] Na tem miejscu przyznać się muszę do pewnej właściwości mego osobistego odczuwania piękna. Oto nigdy żadna „całość" nie robi na mnie takiego wrażenia, jak właśnie fragmenty i szkice. Np. podziw do Matejki potrafiłem obudzić w sobie dopiero po obejrzeniu tysiąca szkiców jego ręki w Domu M. w Krakowie przy ul. Florjańskiej.

owem „obiit...“, tembardziej, że przecież do r. 1846 właśnie! Norwid stale myślał o powrocie do kraju.

Artykuł K. Jaworskiego dotyczy właściwie tylko Brzozowskiego, jeno zlekka poruszając stosunek tego pisarza do Norwida.

K. Wyka nie zdaje sobie sprawy, że w „Ad leones“ poeta obejmuje swą ironją także postać rzeźbiarza (169—170) i to w bardzo wysokim stopniu! On to przecież sprzedaje za „trzydzieści srebrników“ swą duszę! Rzecz K. W. Zawodzińskiego oparta jest na nieporozumieniu, nie bez współudziału zresztą złej woli. Z. Polanowski pisząc, iż życie Norwida mogłoby być tematem do powieści, że zwłaszcza „cudowny rozdział mogłaby stanowić sama podróż przez ocean“ (217), jakgdyby dał natchnienie S. Flukowskiemu, który osnuł na tem tle dość udatny obrazek, z cechami artystycznego prawdopodobieństwa oddający psychologję Norwida oraz strzępy jego ideologji.

Książkę zamykają recenzje kilku książek o Norwidzie, pióra Polanowskiego, Terleckiego i Giergielewicza.

Wilno. *Stanisław Cywiński.*

DODA WIKTOR. Jakiego Żeromskiego znamy? Ze studjów nad tekstem współczesnych pisarzy polskich. Kraków 1933. Str. 23. Odbitka z Przeglądu Współczesnego nr. 139.

Z podtytułu rozprawki widać, że p. Doda nie zamierzał wyczerpać obranego przez siebie tematu; jakoż sam przyznaje się, że studja nad tekstem edycyj Żeromskiego prowadził dorywczo, a przytem ze względu na szczupłość miejsca poprzestał na przytoczeniu kilku tylko charakterystycznych przykładów. W każdym razie eksperyment przyniósł rezultaty ogromne; już z tych na chybi trafi niejako wyrwanych przykładów przekonać się można, że z tekstem dzieł Żeromskiego obchodzono się u nas karygodnie: nie dość bowiem, że nie poprawiano omyłek korekty, ale opuszczano całe wyrazy i zdania, nie bacząc na to, iż cierpi na tem zarówno artyzm utworu, jako też poprostu zdrowy sens. Jedno i drugie gwałcono już za życia Żeromskiego, nadużywając cierpliwości i wyrozumiałości pisarza; gorzej jeszcze przedstawia się sprawa z edycjami pośmiertnemi, zwłaszcza z edycją o obowiązującym nagłówku: „Pisma Stefana Żeromskiego. Pierwsze wydanie zbiorowe“ [1]. Im wydanie późniejsze, tem więcej błędów, bo nie dość że nie poprawia się dawnych, ale dodaje się nowe. Taki stan rzeczy wychodzi na szkodę autorowi przedewszystkiem, ale chyba też i wydawcom, skoro wkońcu może zniechęcać do lektury i do nabywania tak przyprawionych książek. To też w ich interesie jest danie nietylko „pierwszej zbiorowej“, ale i pierwszej krytycznej, poprawnej, edycji dzieł Żeromskiego.

O sprawę skażenia tekstów „Dumy o hetmanie“ i „Walgierza“ potrąciłem parę lat temu w artykule „Heksametr w dziełach naszych wielkich powieściopisarzy“ (Filomata 1931 № 40), polegałem jednak wtedy tylko na własnej pamięci, w której przechowywałem wiele zdań „Dumy“ o brzmieniu heksametrycznem, jakie odkryłem był przed laty, gdym po raz pierwszy czytał to dzieło, a jakich napróżno szukałem w edycjach powojennych. I oto z radością spotkałem w broszurce Dody dwa takie zdania utrzymane w rytmice heksametrycznej (jakże zgodnej z ich treścią!), znajdujące się jeszcze w 3-ciej edycji utworu:

Mieliśmy cześć powrócić świętym świata [popiołom,
a głos dać znowu greckiej mądrości, pieśni, [legendzie.

Inicjatywie p. Dody należy się wielkie uznanie; należy sobie życzyć, by na inicjatywie nie poprzestał, ale doprowadził do końca porównanie wszystkich edycyj Żeromskiego (od pierwodruków poczynając) i dał materjał do edycji ostatecznej, wzorowej.

Warszawa. *Józef Birkenmajer.*

SZYPERSKI ALFONS. Geografja talentów wielkopolskich. Bibljoteka Wici Wielkopolskich, t. IV, r. 1934. Str. 52.

Udział poszczególnych dzielnic w rozwoju kultury narodowej bierze się dotąd w badaniach bardzo mało pod uwagę, mimo że Chlebowski dawno już podkreślał znaczenie tego zagadnienia. I choćbyśmy nawet, jak Niemcy (Nadler), nie pisali historji literatury według plemion, geografją naszej kultury będziemy się musieli wreszcie zająć. Z tego względu wzbudza zainteresowanie książeczka p. Szyperskiego, wyliczająca trzysta nazwisk literatów, artystów i uczonych-humanistów (przygodnie także przyrodników), pochodzących

[1] Ten sam nagłówek widnieje na niektórych książkach Żeromskiego wydanych za życia autora, np. na szóstem wydaniu „Syzyfowych prac“ z r. 1924. Te dwa „pierwsze wydania zbiorowe“ to też curiosum, idące na bakier nawet z arytmetyką!

z Wielkopolski (poznańskiego, kaliskiego i Kujaw), w ugrupowaniu chronologicznem i terytorjalnem. Cel książeczki — jakby wynikało z zakończenia — dzielnicowo-apologetyczny. Do uogólnień autora nie będziemy przywiązywać wagi: wystarczy przytoczyć jego przeciwstawienie „Sienkiewicza, w najgorszym razie neoromantyka" (jeśli nie romantyka) i „realistycznego Kasprowicza" (str. 39). Nie będziemy się też przejmować jego określeniami roli lub nawet kierunku pracy poszczególnych osobistości. A więc Samuel Twardowski nie był „najwybitniejszym pisarzem - poetą (!) w XVII wieku" (str. 16), Onufry Kopczyński slawistą a Wł. Nehring „jednym z największych językoznawców polskich" (str. 20) i t. p. Brak też systematycznego odróżnienia tych Wielkopolan, co rozwinęli się i działali w inno-dzielnicowych środowiskach kulturalnych, od tych, co zostali wierni swoim stronom ojczystym. Samo jednak zebranie nazwisk — zwykle pamięta się o pochodzeniu najwybitniejszych tylko autorów — odda pewne usługi, choć może czasem wymagać uzupełnienia, a nieraz trudno zrozumieć, dlaczego tę lub ową osobę zamieszczono. Jest to całkiem surowy materjał, któryby ożywić należało oświetleniem socjologicznem a w miarę możności i antropologicznem, większej jeszcze wymagającem ostrożności. Zbadanie w ten sposób całej Polski — byle się tylko nie opierało na czysto mechanicznym podziale terytorjum, jak to dla współczesnych Niemiec robił Fr. Giese („Die öffentliche Persönlichkeit") — dałoby pojęcie o wielkości i rodzaju wkładu poszczególnych dzielnic w tworzenie kultury polskiej.

Kraków. *Alfred Fel.*

N O T A T K I

NIEDOPATRZENIA ŚRÓD »INEDITÓW« NORWIDA

W tomie świeżo wydanych „Wierszy" Norwida przeoczył wydawca Z. Przesmycki okoliczność, iż wiersz „Krzyż i dziecko" był już wydrukowany w Kurjerze Warszawskim 1931, nr. 93 (wyd. A. Czartkowski), zaś „Przepis na powieść warszawską" — w antologji J. Lemańskiego „Satyra polska", t. II, str. 111—112. Stamtąd przedrukowałem ten utwór w artykule „Satyra patrjotyczna Norwida" w ABC, 1933, nr. 143 (21 maja). W pierwszym utworze różni się tylko nieco wiersz przedostatni: w Kurj. Warsz. czytamy: — Gdzież się podział k r z y ż? zaś w wyd. książkowem: — Gdzież podział się k r z y ż?

Wilno. *Stanisław Cywiński.*

PRENUMERATA RUCHU LITERACKIEGO:

Roczna (8 zeszytów 1—10) w W-wie bez odnoszenia do domu zł. 14.—; z przesyłką pocztą w Warszawie, na prowincji i zagranicą zł. 16.— (Półroczna (zesz. 1—5, I-e półr. wzgl. 6—10, II-e półr.) w Warszawie bez odnoszenia do domu zł. 7.—; z przesyłką pocztą j. w. zł. 8.— Cena numeru pojedyńczego zł. 2.—. Prenumeratę można wpłacać do P. K. O. na Konto № 12500.

REDAKTOR: PIOTR GRZEGORCZYK WYDAWCY: GEBETHNER i WOLFF

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. ZGODA 12. TEL. 678-16.

Korespondencje, tyczące spraw redakcyjnych oraz egz. recenz. należy przesyłać pod adresem: RUCH LITERACKI, Warszawa, ul. Kromera 4 m. 18.

Druk J. Rajskiego w Warszawie, ul. Ciasna 5 (przy Św.-Jerskiej). Tel. 11-91-03.